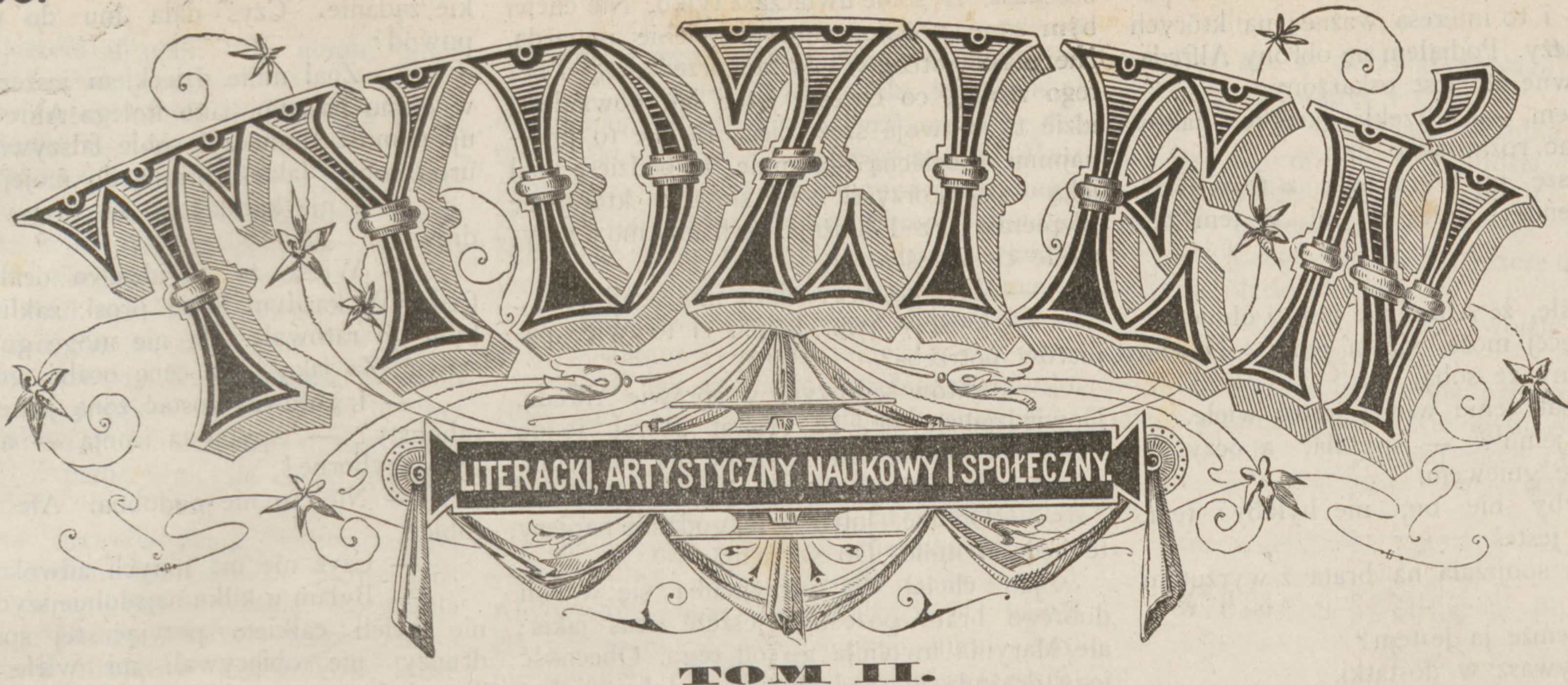
Nr. 26. Lwów, Niedziela dnia 27. Czerwca 1875 r. **Rok II.**



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sg

LUŹNE UWAGI.

XXVI.

O PRACY MARNOWANEJ.

Prasa perjodyczna stanowi właściwą literaturę drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Ilość jej organów wzrasta z dniem każdym, a wzrostowi temu odpowiadają coraz nowe legjony czytelników. Wiedza, sztuka i literatura znalazły w niej swoje odbicie. Handel nawet, przemysł i rzemiosła mają już w niej reprezentację. Nie istnieje prawie specjalność, którąby własnym organem poszczycić się nie mogła. Ten olbrzymi warstat wciąga w siebie wszystkie twórcze siły, wszystkie talenty, najprzedniejsze nawet, i zaprzęga je do bezustannego trudu. Nie będziemy wchodzili w szczegółowe wyliczanie przyczyn tego kolosalnego rozwoju prasy w naszych czasach. Są one bowiem dla każdego jawne i stoją w ścisłym związku z duchem gorączkowego współczesnego postępu, z tendencją rzucania w jak najobszerniejsze koła wszelkich kwestyj żywotnych, z żądaniem popularyzacji, które się z łona mas coraz częściej słyszeć daje. To fakt, że pism coraz więcej, a popyt na nie się zmniejsza. U nas nawet, w stosunkach tak anormalnych, prasa perjodyczna, szczególniej w Królestwie, rozwinęła się znacznie i coraz pełniej odbija w sobie wszystkie kierunki życia narodowego. Czy rozwój ten tak gwałtowny wychodzi na zdrowie literaturze? Na to stanowczo odpowiedzieć musimy: Nie! Pociąga on bowiem wszystkie siły twórcze do współdziałania, a prze je do produkcji gorączkowej, na termin, jednodniowej; nie daje pomysłom dojrzeć, formie skrystalizować się artystycznie. Zło to jednak stało się koniecznem, a dodatnie jego strony, kto wie, czy nie przewyższają ujemnych. „Pod słońcem rozłożono bogactwa nauki" powiada charakterystycznie Alfred de Musset; dodajmy: wszystkie bogactwa duchowe — i uprzystępniono je najniższym umysłowo i najuboższym materjalnie. O ile jednak zyskuje na tem masa czytająca, o tyle siły twórcze tracą. Nie tylko bowiem praca ich nie ma czasu dojrzeć, jak już wspomnieliśmy, ale co okropniejsza, po największej części przepada bez śladu w tych olbrzymich beczkach Danaid, które zowiemy czasopismami! Ileż wiedzy, talentu, zapału wlewa się w te nienasycone kolumny, uczy, zajmuje przez chwilę, czasami zachwyca nawet czytelnika i zapada w otchłań zapomnienia. Cóż tu znaczy czytelnik! Echo jego uniesienia, lub w ogólności jakiegokolwiek sądu prędko przebrzmiewa! Roczniki zebrane pleśnieją po półkach prywatnych, bibljotecznych, księgarskich; chyba czasami bibljofil jaki lub szperacz studjujący o nie zapyta!

Pod pyłem drzemie wiele prac cennych, wiele imion godnych pamiątki, wiele pomysłów szczęśliwych, które nie znalazły dla siebie rejestru!

Szczęśliwem wyjątkiem z pod tego fatalizmu zapomnienia cieszą się tylko prace, rzucone przez autorów lub wydawców w odbitkach, albo pomieszczone następnie w pełnym zbiorze pism pewnego autora. Kto zna jednak usposobienie publiczności względem odbitek i wstręt księgarstwa naszego, usprawiedliwiony zresztą w danej chwili, do książkowych nakładów, ten pojmie, że powyższy fawor losu trafia się tylko nie wielu wybranym, a w szczególności przypada w udziele pracom większym, lub będącym utworem pierwszorzędnych talentów. Co jednak począć ma wobec takiej alternatywy dorobek literacki? Co talenty mniejsze, w których pracy każda prawdziwie wielka literatura perły wynaleźć i uznać potrafi, a które jednak u nas rzadko doczekują się pełnego zbioru swoich utworów? Dorobek literacki! Któż z nas nie pozostawił najżywszych iskier swego młodego talentu i zapału w tem ognisku dziennikarskiem, z którego popioły wszystkie wiatry roznaszać zwykły!... Chyba w nekrologu znajdzie się wspominka dla Cieszkowskich. Niemojowskich itd. itd. że pracowali w tem lub owem piśmie — ale co napisali — jaką to miało wartość, czy literatura im co za to winna?... O tem głucho. A jednak jest to krzywda i myśl paraliżująca piór wiele, krzywda, której w imię sprawiedliwości i dobra literatury zapobiedz należy. Tu się zaczyna rola krytyki. Ona to powinna perjodycznie regestrować i rozpatrywać te rzucone na ulotnych świstkach prace, liczyć się ze śladami, które talent i trud zostawiły na tej drodze, oceniać ich wartość, zatrzymując płochą uwagę ogółu na wydatniejszych tworach i talentach, kategoryzując jedne i drugie dla przyszłego historyka literatury, lub bjografa, a wreszcie ułatwiając drogę młodym pjonierom, których zapał na widok tej pożądanej pomocy urośnie, a siły, zwykle targane w walce o imię, będące bądź co bądź potężnym czynnikiem wpływu, lepiej zużytemi zostaną! Nakoniec kontrola taka krytyki zapobiegnie choć w części wspomnianemu już powyżej gorączkowemu pospiechowi tworzenia u pierwszorzędnych nawet pisarzy. Ileż wody popłynęło z genjalnych piór w tę beczkę Danaid, pod naciskiem wydawców a perswazją tej myśli, że w bystro lejącym się prądzie nikt nie rozróżni tej nieszlachetnej wilgoci od zacniejszych i kosztowniejszych płynów! Lekceważy się to, co chwila rodzi i chwila ma zatrzeć. Spróbujmy jednak rozpocząć systematycznie rachunki z prasą perjodyczną, a ujrzymy jak Bogowie nawet wyprostują się i wspomną „zielone lata." Mniej będzie może na chwilę produkcji ale lepsza!... Liczmy się więc, z pismami tygodniowemi na roczniki, na miesięczniki z pismami o dłuższym terminie, liczmy się w ten lub ów sposób, ale liczmy się, bo czyniąc inaczej, postępujemy jak krzywdziciele i marnotrawcy!

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Jana zaczęły już nudzić te pytania, radby był co prędzej rozpoczął rozmowę o tem, co go tu właściwie sprowadziło; jeno nie wiedział, jak się wziąć do tego. Marynia pomogła mu, zapytawszy co go tu do Wiednia sprowadziło.

— Adwokackie interesa — odrzekł z pośpiechem — i to interesa ważne; na których mi wiele zależy. Podjąłem się obrony Alfreda. Wiesz zapewne, że jest oskarżony.

— Wiem, — odrzekła krótko, jakby chciała urwać rozmowę o nim.

— Muszę go wyratować z tego fatalnego położenia i sądzę, że mi w tem pomożesz.

— Ja?

— Myślę, że Alfred nie jest ci obojętny.

— Więcej może, niż ja jemu. Dawno już zerwaliśmy ze sobą.

— Jednak jemu winna jesteś wiele.

— Ja jemu? — spytała, a oczy jej zaiskrzyły się gniewem.

— Gdyby nie on, nie byłabyś tem, czem dzisiaj jesteś.

Marynia spojrzała na brata z wyrzutem i rzekła:

— I czemże ja jestem?

— Opływasz w dostatki.

— To prawda, jemu winnam, żem przywykła do zbytku, do wygód, do strojów i nie umiałabym wrócić dziś do skromnego życia, zarabiać na chleb; ale właśnie przeklinam go i nienawidzę, bo dziś to życie błyszczące, świetne, muszę okupywać ciągłą hańbą, wstydem. Czemże ja jestem? Lada szwaczka, wyrobnica, może śmiało przyznać się do tego czem jest, ja nie mogę tego powtórzyć nawet przed sobą samą, ale czytam to wyraźnie w spojrzeniach ludzi. A, chcesz go bronić, tego, co ci shańbił siostrę? Tyś nie powinien tego robić.

— Idzie tu o moje szczęście.

— Jakiż związek może mieć twoje szczęście z losem Alfreda?

— Alfred ma siostrę.

— Baronowę Rosenkranz.

— Znałem ją młodą panienką.

— Baronowa idzie za mąż za swego kuzyna.

— Właśnie idzie o to, żeby nie poszła, a to stać się może jedynie wtedy, gdy Alfred zostanie ocalonym.

— I cóż ja pomogę w tej sprawie?

— Bardzo wiele. Alfred w pierwszem przesłuchaniu przyznał się do wszystkiego, protokoł ten zgubi go. Trzeba więc papiery sądowe dostać i zmienić zeznanie na korzyść obwinionego.

— W jakiż sposób ja mam ci tu pomódz?

— Papiery te znajdują się obecnie w mieszkaniu Hofratha Zehnmark.

— Więc wiesz o tem, że znam Hofratha? — spytała topiąc w nim powazne spojrzenie a twarz jej sposępniała — i dla tego przyszedłeś. Inaczej byłbyś mnie nie znał.. Ha, to okropnie! Być całe życie niczem tylko narzędziem dla ludzi.

Rzuciła się nerwowo na otomance i załamała palce. Twarz jej w tej chwili miała wyraz przykrej boleści i rozpaczy. Jan opuścił oczy, milczał chwilę a potem chcąc coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, począł jej mówić o swojem przywiązaniu braterskiem, o okolicznościach, które mu nie pozwalały zbliżyć się pierwej do niej; ale mu przerwała żywo:

— Przestań — rzekła — nie zmuszaj się do kłamstwa. Nie chcę tego. Mnie nie oszukasz. A sobie uwłaczasz tylko. Nie chciej bym zamiast żalu, czuła dla ciebie pogardę. Nie masz potrzeby udawać przedemną, i bez tego zrobię, co chcesz; jeżeli jak powiadasz, idzie tu o twoje szczęście. Będzie to przynajmniej pociechą dla mnie, że będziesz miał jaką taką korzyść z tej siostry, której się wypierasz przed ludźmi; że hańba moja przyniesie ci szczęście.

— Maryniu, krzywdzisz mnie, sądząc że...

— Dość o tem. Jakich ci to więc papierów potrzeba?.

— Aktów sądowych w sprawie Alfreda. Dowiedziałem się, że Hofrat zabrał je do siebie. Potrzeba mi je mieć na parę dni, jednak tak aby on o tem nie wiedział.

— Dobrze. Jutro o tej godzinie papiery te będą u mnie. Do widzenia.

Jan chciał dla utrzymania się w roli dobrego brata pozostać jeszcze czas jakiś; ale Marynia uwolniła go od tego. Obecność jego drażniła ją. Zadzwoniła na lokaja i kazała sobie podać śniadanie. Janowi nie pozostawało nic innego jak pożegnać siostrę.

Po jego odejściu złotowłosa Mary rzuciła się twarzą na otomankę i wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem. Dziwna kobieta, dziwne są tajemnice jej serca. Za koronki, brylanty i złoto oddała to, za czem teraz tęskniła, i płakała wśród koronek, brylantów i złota. Pragnęła złota jak bogacz frygijski i jak on wśród złota umierała z głodu; był to głód serca, które łaknęło ciepłego uczucia, trwałego przywiązania i nie mogło go wyżebrać, i dla tego płakała. Tymczasem Jan pełen najlepszej otuchy, nie wątpiąc już w pomyślny skutek swych zachodów zdążał prosto do baronowej, by jej podyktować warunki pod jakiemi mógł uwolnić jej brata. Baronowa była właśnie przy śniadaniu, gdy jej wręczono bilet Jana. Otto, narzeczony jej, był właśnie przy niej. Zostawiła go samego i poszła do salonu na powitanie gościa.

Konferencja trwała dość długo. Otto dla skrócenia czasu przeglądał gazety, żurnale, i nie mógł doczekać się baronowej. Nudził się i niecierpliwił. Już chciał odejść urażony tą długą nieobecnością baronowej, gdy ta właśnie weszła. Ale była pomięszana, i wzruszona. Otto zapomniał o wyrzutach, które jej miał robić i zaniepokojony zapytał: co się stało.—Kto to był u ciebie? Czy nie ktoś od Alfreda.

— Adwokat, któremu powierzyłam obronę Alfreda.

— I cóż?

— Przyrzekł bronić go.

— I to cię tak przeraziło? Nie rozumiem.

— Postawił mi warunki, pod któremi mógłby przyjąć obronę.

— Cóż za warunki? Musiał podać bajeczną sumę.

— Nie sumę: ale żądanie bajeczne. Żąda za to mojej ręki.

— Czy zwarjował? — spytał oburzony Otto. — Pozwolisz mi, abym tego błazna przyzwoicie ukarał za tę bezczelność.

— Nie możemy go drażnić. Jest to wąż, przed którym trzeba uciekać, gdy się nie ma sposobu go zabić

— Ale cóż ośmieliło go stawiać ci takie żądanie. Czyś dała mu do tego jaki powód?

— Znał mnie dzieckiem jeszcze, bywał w domu naszym, jako kolega Alfreda. Moją uprzejmość tłumaczył sobie fałszywie i ztąd uroił sobie jakieś prawa do mojej miłości.

— I nie kazałaś go za to wyrzucić za drzwi?

— Wiesz, że tu idzie o ocalenie Alfreda. W każdym liście prosi, zaklina mnie, bym go ratowała. Ja nie mogę go tak zostawić. Za jaką bądź cenę ocalić go muszę,

— I gotowaś zostać żoną jakiegoś tam rabulisty? — spytał z ironją — a to by było wyborne!

— Nie, to nie podobna. Ale radź. co robić?

— Czyż nie ma innych adwokatów?

— Byłam u kilku najzdolniejszych. Jedni nie chcieli całkiem przyjąć tej sprawy, a drudzy nie obiecywali mi wiele nadziei. Ten jeden przyrzekł mi na pewno, że go ocali.

— Kto nam zaręczy za to?

— Musi być pewnym, gdy nie żąda spełnienia warunków z mojej strony, aż po uwolnieniu brata.

— Jeżeli tak, to powinnaś przystać.

— Iść za niego?

— Któż mówi o tem? Tylko przystać na jego warunki. A skoro brat będzie wolny, nikt nie zmusi cię przecie, abyś dotrzymała słowa adwokatowi. Zapłaci mu się dobrze, i koniec na tem.

Baronowa spojrzała na narzeczonego dziwnym wzrokiem. Propozycja jego była wprawdzie dobra, ale stawiała go bardzo nisko w jej oczach. Człowiek, który tak lekko traktował wszelkie zobowiązania stracił u niej szacunek. Z tem wszystkiem postanowiła korzystać z tej rady i posłała po Jana. Miało to być znakiem, że przystaje na jego warunki.

Jan stawił się na drugi dzień z papierami. Helena oczekiwała go w swoim pokoju; była dla niego uprzejma, słodka, przymuszała się nawet do okazywania mu sympatji, by uśpić jego podejrzenia. Jan objaśnił ją w jaki sposób myśli bronić brata, pokazał jej pierwotny protokół, który stanowczo udowadniał winę oskarżonego jego zeznaniem, i własnoręcznym podpisem.

— Przyszedłem do posiadania tych papierów drogą nie bardzo czystą, — mówił Jan; — wszedłem w kolizję z mojem sumieniem i z kodeksem, dopuściłem się kradzieży aktów i sfałszowania ich, a wszystko to zrobiłem dla pani. Nie cofnąłem się przed niczem, by ci dać dowód, jak wysoko cenię szczęście posiadania pani. Uprzedzam jednak panią, że jeżeli nie masz prawdziwego zamiaru oddania mi ręki, jeżeli chcesz mnie tylko łudzić, aby uratować brata, to lepiej cofnij się przed czasem, bo ja potem praw swoich nie odstąpię.

— Dałam panu słowo i możesz na niem polegać.

— Mogę jako człowiek; ale jako adwokat potrzebuję pewniejszej gwarancji.

— Jakiejże pan chcesz gwarancji? Czy mi pan nie wierzysz? — spytała z dumą.

Jan ruszył wątpiąco ramionami i rzekł:

— Dotąd o ile wiem nie zerwałaś pani z tym, którego nazywają narzeczonym pani.

Dziś był jeszcze u pani. To mogło mnie zrobić niedowierzającym.

— Potrzeba mi na to pewnego czasu, by upozorować to zerwanie.

— Po co? Miłość siostry dostatecznie powinna wytłumaczyć mu ten krok pani. Zresztą nie wiele tracisz pani na tem, ten człowiek nie kocha pani. Może kiedyś kochał, gdyś pani była żoną innego, dziś nie.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Mam dowody. Na Singergasse w domu pod Nr. 6 na drugiem piętrze, drzwi 16, ma kochankę Adelę Majerhof; możesz się pani o tem przekonać Z panią żenić się chciał głównie dla pieniędzy.

Helena zagryzła wargi i zmarszczyła brwi w ponurem zamyśleniu. Słowa Jana zraniły jej dumę i miłość własną. Rozważała postępowanie Ottona i zaczęła teraz odkrywać w niem mnóstwo szczegółków, które zdawały się potwierdzać to, co Jan mówił. Przedewszystkiem przypomniała jej się jedna okoliczność, na którą dawniej nie zwracała uwagi, a mianowicie, że Otto nadzwyczaj słabo zachęcał ją do ratowania brata a nawet były chwile, że jej to w nieznaczny sposób odradzał. Wtedy zdziwiło ją to, niepojmowała, jak mógł tak obojętnie traktować sprawę, która i ją dotykała i mogła zniesławić. Przypisywała to wielkiej miłości Ottona, tłumaczyła to tem, iż chciał jej przez to pokazać, jak wiele ją kocha, że nawet skompromitowaną czynem brata nie będzie się wahał wziąć za małżonkę. Teraz przy świetle które jej rzucił Jan, inaczej zobaczyła tę sprawę. Ottonowi szło o majątek Alfreda, który w razie zasądzenia go, byłby spadł na nią. To ją oburzyło. Zrobiła sobie postanowienie zerwania z Ottonem i mogła z czystem sumieniem zapewnić Jana, że nie pójdzie za Ottona. O dotrzymaniu jednak drugiej części przyrzeczenia nie myślała w tej chwili.

Jan zdawał się czytać jej myśli i jakby w odpowiedzi mówił dalej

— Zerwanie z narzeczonym nie jest dla mnie jeszcze gwarancją, że pani pójdziesz za mnie. Mógłbym dla zapewnienia się żądać od pani złożenia jako kaucji pewnej znacznej sumy np. połowy majątku pani. Ale ja miłości pani nie obliczam na pieniądze, i największa suma nie mogłaby mi wynagrodzić tego, co bym stracił. Nie żądam więc od pani tego, chcę tylko a raczej będę prosił o przepisanie tego listu ręką pani i z pani podpisem.

Tu podał jej małą karteczkę, na której napisanych było kilkanaście wierszy.

— Co to jest? — spytała Helena przeglądając kartkę.

— Jest to list, który niby pani pisze do jednego z urzędników sądowych proponując mu wykradzenie aktów śledczych i obiecujesz mu za to znaczną sumę. Urzędnik nazywa się Flichter, Józef Flichter a jego pomocnik Jan Rüben.

— Ja tych ludzi nie znam.

— To nic nie znaczy. Ja ich znam. Przez nich dostałem te papiery.

— Na cóż panu potrzebny mój list?

— Będzie on świadczył, gdyby tego była potrzeba, że nie ja popełniłem kradzież tych papierów, ale że to pani zrobiłaś. List ten wraz z temi oryginalnemi aktami będzie u mnie. W razie, gdyby panią odeszła chęć dotrzymania warunków naszej umowy, list ten i akta zostaną wręczone sądowi, brat pani będzie na nowo sądzony, a pani pociągnięta do odpowiedzialności, jako wspólniczka. Niech się pani nie łudzi nadzieją ucieczki. Dopóki ślub nasz się nie odbędzie, pani i brat pani będziecie strzeżeni dobrze, ja się o to postaram.

— Z jak szatańską przebiegłością ułożyłeś pan cały ten plan na naszą zgubę — rzekła Helena, widząc się tak pokonaną i zgnębioną przezornością adwokata.

— To nie moja wina, pani. Wolałbym przecież przyjść bez tego wszystkiego, wyznać ci miłość moją i prosić o twoją rękę. Ale wtedy pokazałabyś mi drzwi i kazała jak psa wyrzucić. Więc muszę zdobywać sobie gwałtem, podstępem, zasługiwać pracą, a nawet zbrodnią na to szczęście, jakie inny może posiąść bez zasług, bez mozołu. I zresztą — dodał po chwili chłodniej już — jeżeli pani nie miałaś skrytego zamiaru złamania danego słowa, to moja ostrożność nie powinna panią przestraszać. Akta te i list zostaną zniszczone po ślubie.

Helena słuchała słów jego siedząc przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach; nie wiele jednak słyszała z tego zajęta własnemi myślami, które w tej chwili w chaotycznej zawierusze burzyły się wśród najsprzeczniejszych uczuć. Straszną walkę przebywała baronowa. Duma rodowa i przywiązanie do brata, obawa o jego życie i wstręt do Jana, naprzemian wydzierały sobie jej serce i coraz inne wywoływały postanowienia. Jan obserwował ją uważnie, z poruszeń jej odgadywał, co się działo w jej duszy i oczekiwał rezultatu namysłu. Czy dla tego, że chciał go przyspieszyć, czy też że zwątpił w jego pomyślność, nie odezwał się już nic więcej, nie nalegał o odpowiedź; tylko z flegmą, powoli zbierał papiery, układał, porządkował i zabierał się do wyjścia.

Baronowa spostrzegłszy to zerwała się, a przystąpiwszy do niego z rezygnacją rzekła:

— Daj pan ten list, napiszę go.

Jan podał jej papier.

Zmęczona, znękana, jakby po strasznej chorobie, baronowa usiadła przy stoliku i poczęła pisać. Jan, stojąc na boku, ogarniał ją spojrzeniem pełnem radości i zadowolenia, w twarzy jego widać nawet było pewne rozrzewnienie, miękość, jaką rysom nadaje uczucie. Ujrzawszy się tak bliskim posiadania kobiety, która tak silną namiętność umiała wzniecić w jego sercu, uczuł się przygnieciony m, odurzonym swem szczęściem. Uczucie to sprawiło pewien rozstrój w jego organizmie, pod wpływem ciepłych promieni lodowaty charakter topniał. Usta Jana drgały spazmatycznie, oczy błagalnie, czule poglądały na baronowę. Parę razy wyciągnął ku niej rękę i postąpił bliżej, chciał coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować. Wreszcie zbliżył się do niej, ukląknął i obsypując jej rękę pocałunkami odezwał się:

— Przebacz mi Heleno, że w tak szkaradny sposób dobijam się o twoją miłość. Robię to dla tego, bo cię kocham.

— Pozwól mi pan pisać — rzekła odsuwając go z chłodną powagą, w której przebijał się wstręt i pogarda.

— Nie bądź tak okrutną — prosił Jan — daj mi choć z litości, choć jako jałmużnę odrobinę tej miłości, do której z takim trudem nabyłem prawa.

— Czego pan chcesz jeszcze odemnie? — spytała niecierpliwie.

— Chcę w oczach twoich wyczytać, że mnie nie nienawidzisz

— Wszak będę żoną pańską. Czyż to nie wystarcza panu? Nie wymagaj pan więcej odemnie. To już nad moje siły...

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

Z kolei przyszliśmy do techniki Jana Matejki. Pod nią rozumiemy rysunek, perspektywę i koloryt.

W rysunku Mistrz krakowski jest na wskróś oryginalny, a chociaż linji jego brak klasycznego spokoju i klasycznej szlachetności, mimo to włada on nią tak genjalnie, że nie ma trudności, któréjby nie pokonał samym rysunkiem. Przekona się o tem każdy, kto spojrzy na postacie historyczne, które Matejko odtwarzał według starych pieczęci. Album wydane przez Lewentala, zawiera kilka takich obrazów. Nie ma tam koloru, jest tylko linja uwydatniona światłem i cieniem, a przecież każda z tych figur żyje i jest pełna charakteru. Regularnej linji klasycznej można się nauczyć, ale nie nauczy się nikt takiej, jaką ma Jan Matejko. Ona jest charakterystycznem znamieniem jego talentu — z nią urodził się artysta. Jeżeli w układzie osób i ich ugrupowaniu pragnęliśmy więcej spokoju i klasycznej harmonji, to rysowanie postaci dramatycznych linją Matejki, najlepiej odpowiada charakterowi tematów, które on wybiera, i dla tego w tym punkcie nie można mu nic zarzucić. Szlachetna linja Raffaela, którą tak chętnie posługiwał się Kaulbach, wyprowadza znakomicie istoty nadziemskie, idealne; niespokojna, łamana, czasem nawet brutalna linja Matejki, daje nam ludzi potężnych, namiętnych, gwałtownych. W tamtej przeważa piękno, będące pierwszym dogmatem sztuki idealnej — w tej siła męska i prawda, będące znamionami nowoczesnego dramatu. Rysunek Jana Matejki, przypomina mi bardzo Michała Anioła, który hołdował także kierunkowi realistycznemu, Między nimi dwoma jest pewne duchowe powinowactwo, polegające na targaniu form przyjętych i szukaniu nowych dróg dla myśli niespokojnej. Rysunek Matejki daje się zatem użyć przewyśmienicie w kompozycjach dramatycznych, ale natomiast byłby niestosownym w obrazach religijnych, miłosnych, sielankowych, w ogóle takich, których treść idealna domaga się techniki idealnej. Dla tego Barbara nie powiodła się Matejce; nie powiodły mu się także portrety młodych dziewic, których kilka miałem sposobność oglądać w Krakowie na wystawie nieu-

*

stającej, — nie powiodły mu się nareszcie postacie dzieci. Przy rysowaniu takich figur potrzeba linji delikatnej — ale nie męskiej.

W rysunku Mistrza krakowskiego znalazłem tylko jednę słabą linję; jest nią linja pionowa, biegnąca u ludzi od tyłu głowy do pięt. O ile mi się zdaje, należy ona do najtrudniejszych, gdyż sama jedna osadza całego człowieka. Artur Grottger, na co w swoim czasie zwróciliśmy uwagę, władał nią znakomicie. U Matejki jest ona natomiast bardzo chwiejna, skutkiem czego stojące jego figury nie zawsze silnie stoją. Zamojskiego, (*Batory*) lada silniejsze potrącenie z nóg zwali; Zygmunt August (*Unja*) nie opiera się na stopach całym ciężarem ciała; ten sam Zygmunt tulący Barbarę, ma nogi tak słabe, że każdej chwili mogą mu się w kolanach przełamać; a Piotr hr. Moszyński, którego portret oglądałem w Krakowie, siedzi tak niepewnie, że bardzo łatwo zsunie się z fotelu na ziemię. Brak tej linji wypływa u Matejki głównie z braku perspektywy powietrznej, której w całej pełni nie ma u niego na żadnym obrazie. Niedostatek to w oczy tak uderzający, że dłużej nie potrzejemy się nad nim zastanawiać.

Ręce, Matejko świetnie rysuje. Wie o tem dobrze i dla tego żadna z jego figur nie ma rąk schowanych. Szkoda tylko, że ich układ jest nadto monotonny. Matejko przedstawia je najchętniej z palcami od siebie odbiegającemi, co już zakrawa na manjerę. Gdy w kilkanaście dni po otwarciu wystawy wiedeńskiej, zwidzałem tamże wystawę obrazów, jeden ze znajomych, nie rozumiejący się wcale na sztuce, gdyż od dziecka siał tylko pszenicę, założył się z nami, że nie zaglądając do katalogu, wskaże nam każdy z portretów Matejki, które w nieładzie były rozwieszone. I wskazał je rzeczywiście wszystkie, poznając jedynie po rękach, ułożonych ostentacyjnie. Powtarzam jeszcze, że to trąci manjerą, niegodną tak wielkiego mistrza. Rysunek niektórych głów, a szczególnie siwych, rozwianych włosów, powtarza się także w *Skardze i Batorym*. Ciekawy znajdzie te głowy i włosy... W proporcjach ciała Matejko chybił raz uderzająco. Klęczący jego Sędziwoj jest tak słuszny, że gdyby powstał, otaczające go osoby sięgnęłyby mu zaledwie do pasa, a sam nie znalazłby dla swojej głowy pomieszczenia na obrazie.

Jako kolorysta, Matejko nie ma sobie równego. Oto pole, na którem jest monarchą wszechwładnym. Takich jedwabiów, atlasów, futer, złotogłowiów itd. nikt przed nim nie malował, a wątpimy, by znalazł się kiedy mistrz, którym go przewyższył w tej gałęzi. Veronese i Tizian, uważani po dziś dzień za najznakomitszych kolorystów, ustępują przed Matejką. Koloryt jego sprawia wrażenie olbrzymie, olśniewające, a jeżeli dodamy, że wykańcza on wszystkie szczegóły z cierpliwością Flamandczyka, to dziwić się nie będziemy dla czego widz zawsze wykrzykuje: Ach! jak to malowane! Natura nie może być lepiej oddaną. Aksamit na kontuszu Moszyńskiego, to nie zwykły aksamit, to aksamit w najlepszym gatunku. Zachodzi atoli pytanie czy ten koloryt jest zawsze harmonijny. Jabym się ośmielił utrzymywać, że Matejko zestawia obok siebie za wiele kolorów jaskrawych, skutkiem czego powstaje taka barw gmatwanina, że oko nie może się w nich zorjentować. Specjaliści twierdzą także, że z biegiem czasu kolory jego blednieją, ponieważ podmalowuje wszystko fioletem, który z początku jest bardzo efektowny, ale później całkiem się zmienia, szczególnie pod wpływem promieni słońca. Jeżeli prawda że *Skarga*, który dziś ma koloryt płowy i nieprzyjemny, wyglądał początkowo tak, jak późniejsze dzieła Matejki, to zarzut specjalistów należy uważać za słuszny. W każdym razie byłaby to wielka strata dla naszego malarstwa i przyszłej sławy Mistrza krakowskiego.

Rzadko zdarzy się, aby wielki talent utrzymał się do końca w należytej równowadze. Widząc swoje powodzenie, a nie słysząc nigdzie słowa zarzutu, lekceważy widzów, za czem idzie lekceważenie sztuki. To lekceważenie, mogące zwiastować nawet upadek, dostrzegliśmy w ostatnich portretach Matejki. Czy te plamy czerwone, rzucane na tła wulkaniczne, to portrety? Ja natomiast ośmieliłbym się je nazwać bardzo słabemi malowidłami, uwłaczającemi Matejce. Kilka takich portretów oglądałem zeszłego roku, i przyznam się, żem był bardzo rozczarowany.

Ponieważ wiemy, że Matejko umie inaczej głowy malować, więc chyba trzeba przypuścić, że portret stwarza w godzinach spleenu. Przy tej sposobności wypada również dodać, że czasem wykańcza on drobnostki kosztem całości. Oglądałem portret kobiecy, na którym osoba portretowana trzyma medaljon. Medaljon jest wykończony z taką skrupulatnością, i tak pretensjonalnie umieszczony, że oko najpierw na niego pada. Czy takie wrażenie chciał artysta wywołać?

Reasumując wszystko, cośmy powiedzieli o technice Matejki, nie możemy nie przyznać, że jest on w niej *genjalnym*, mimo drobnych zboczeń, z których otrząść się może, a które nikną wśród tysiąca stron dodatnich. (C. d. n.)

Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(Dokończenie.)

Na progu domu obaczył Araba, oddanego Francuzom, który długo służył pod jego dowództwem w czasie pobytu pod Schyfem. Arab zbladł na widok jego, i zmięszał się, ale z uniżeniem zbliżył się i według zwyczaju krajowego pocałował go w rękę.

— Co ci jest? zapytał Ferrand, czemuś taki blady, gdzie jest Mariem, czemu jej nie widzę?

— Sidi, — odpowiedział Arab, — Mariem jest teraz żoną moją.

— Jakto! — krzyknął na niego dowódzca — i ty ośmieliłeś się pojąć za żonę tę, którą kochałem? To być nie może, ja muszę ją widzieć!

— Sidi, na to zezwolić nie mogę — odrzekł z rezygnacją Arab, — ona jest żoną moją i jeżeli ja ciebie wpuszczę do domu, wszyscy będą pokazywać palcami na mnie mówiąc: — „Ben-Saib sam przyprowadził dawnego kochanka do żony swojej.“

— Bądź spokojny! możesz być przy naszem spotkaniu, ja chcę ją widzieć i pomówić choć po raz ostatni.

Odtrąciwszy Araba, który stał we drzwiach, Ferrand wszedł do domu. W pierwszym pokoju spotkał macochę, która przerażona jego widokiem uciekła z domu. W drugim znalazł Mariem zajętą domową pracą. Młoda kobieta wychudła nadzwyczajnie, bladość pokryła jej oblicze, smutek malował się w jej wejrzeniu. Gdy obaczyła swego Roberta, z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu, lecz osłabiona silnem wzruszeniem zemdlała w jego objęciach.

— Więc ty mnie kochasz jeszcze? — były pierwsze jej słowa — ty nie zapomniałeś o biednej, nieszczęśliwej Mariem?

— Ja kocham ciebie! — odpowiedział Ferrand, — ale czy ty zostałaś mi wierną? Co znaczy ten człowiek który mianuje się twoim mężem, czy prawda co on mi powiedział?

Nie odpowiadając na zapytania jego, Mariem odrzekła:

— Więc tyś nie żonaty, tyś nie jeździł do Francji, tyś nie przywiózł z tamtąd żony?

— Ja nie jeździłem do Francji, bom cały czas był w kampanji; jam nie żonaty, pisałem co tydzień listy do ciebie, lecz ani jednej nie otrzymałem odpowiedzi.

— Tyś nie żonaty! — powtórzyła Mariem prawie w obłąkaniu; — przysięgnij mi, że mówisz prawdę, na wszystko co jest świętem dla mnie i dla ciebie!

— Przysięgam na Mahometa, na niebo, na grób mego ojca i na życie mej matki, żem nigdy nawet nie pomyślał oszukać ciebie!

— Boże mój, Boże mój! teraz wszystko rozumiem! — Ogień nienawiści błysnął w oczach Mariem, chwyciła nóż ze stołu i z zapamiętałością rzuciła się na męża, który stał zdala i spokojnie przypatrywał się scenie spotkania dwojga dawnych kochanków. Ferrand wstrzymał ją.

— Co to wszystko znaczy, Mariem? powiedz mi.

— To znaczy, że ten szatan i macocha moja kradli listy moje do ciebie i twoje do mnie; oni mi mówili, że wyjechałeś do Francji i żeś się tam ożenił; oni mi przyprowadzili świadków, którzy pod przysięgą stwierdzili ich słowa, a wszystko to dla tego, żebym zgodziła się na ślub z Ben-Saibem, dawnym kochankiem macochy, który tylko przez to mógł zostać kaidem. Boże mój, Boże, ześlij przekleństwo Twoje na przestępców! Zapewne dla tego tak nienawidziłem go mocno!... Robercie, nigdy pocałunek jego nie dotknął tych ust, które ty całowałeś; byłam ci wierną dotychczas chociaż bez nadziei. Musiałam oddać mu rękę, bo potrzebny był mężczyzna w domu, potrzebny robotnik i głowa domu, bo władza macochy już mi się naprzykrzyła. Osądź mię teraz Robercie, czym winna?!

Ferrand stał jak osłupiały. On wierzył w prawdę słów swej pięknej Mariem, ale myśl ta już go nie cieszyła, bo przepaść rozdzieliła ich nazawsze. Z rozpaczą więc spojrzał na kochankę i rzekł:

— Mariem, ja żyłem dotychczas tylko tobą, tylko dla ciebie; teraz wszystko tracę. Może Bóg miłościwy poszle mi kulę z rąk Kabilów; bądź zdrowa na zawsze droga Mariem! Ja idę na bitwę!

Ścisnął ją za rękę i szybko poszedł ku drzwiom, jakby lękając się, żeby go moc charakteru nie opuściła. Mariem zemdlona upadła na ziemię.

Ferrand spojrzał na nią, łza mu oko zabiegła, z rozpaczą chwycił się za czoło, lękając się żeby mu czaszka z bolu nie pękła, i wskoczywszy na konia dał rozkaz ruszyć naprzód. Wkrótce świsnęły kule i walka zawrzała.

W chwili gdy śmierć już nie jednemu nazawsze zakryła powieki, gdy rozpacz i męztwo nawzajem wydzierały sobie zwycięztwo, dowódzca obaczył Kabila, wiernego sługę Mariem, i po-

wiernika jej ojca, który nie zważając na niebezpieczeństwo, jak pies biegał po polu bitwy zdyszany, pytając każdego, gdzie jest dowódzca. Spostrzegłszy go nakoniec podał mu kartkę od Mariem i amulet zawierający włosy jej matki. „Posyłam ci włosy matki mojej, — pisała do niego Mariem, — połóż je na sercu, one cię ochronią od nieprzyjacielskiej kuli; wypełnij tę prośbę nieszczęśliwej Mariem, która dla ciebie tylko żyje, ciebie kocha i nigdy kochać nie przestanie. Dałeś mi pojęcie o waszych towarzyskich stosunkach i o waszych prawach; rozumiem więc że pomiędzy nami wszystko skończone, lecz zachowaj życie swoje, bo Mariem nie przeżyje ciebie.“

W bitwie z Arabami pod fortem Napoleona, w której i ja udział brałem, przypadek zbliżył mnie do p. Ferrand. Wszedłszy w wąwozy byliśmy niespodzianie przywitani gradem kul i kamieni, które posypali na nas Arabowie ukryci za skałami. W dziesięć minut zdziesiątkowany oddział nasz gotów był pójść w rozsypkę, lecz jenerał Gastu widząc, że Kabile rzucili się na chorążego chcąc mu wydrzeć orła, kazał muzykantom zagrać marsz pułkowy, który odzywa się w wojsku francuskiem w boju tylko wtedy, gdy grozi niebezpieczeństwo utraty chorągwi. Zaledwo zabrzmiały trąby, żuawi wstrzymali się z odwrotem; potem pobiegli naprzód w takich skokach tygrysich, z taką furją, że nic się im oprzeć nie mogło. Rannych nie było — byli tylko zabici i wkrótce plac boju został przy nas. Tu po raz pierwszy poznałem, co znaczy muzyka wojenna użyta w swoim czasie. Otóż w tym boju kamień rzucony z góry wytrącił szablę z rąk jadącego około mnie p. Ferrand; mając rewolwer i szablę, a strzelając dobrze, oddałem mu moją szablę. W Konstantynie spotkaliśmy się znowu i wkrótce prawdziwa przyjaźń połączyła nas obu.

W chwili poufnego zwierzania się opowiedział mi o swej nieszczęśliwej miłości. Dotychczas pisze listy do niej i otrzymuje odpowiedzi.

Tak dalece byłem zainteresowany opowiadaniem jego, iż mając zamiar przejeżdżać przez Schyf prosiłem, ażeby przesłał przezemnie list do Mariem, którą chciałem poznać koniecznie.

Wręczając jej list od p. Ferrand przy mężu i macosze miałem możność przypatrzenia się jej zbliska. Jest ona miernego wzrostu, bladej owalnej i dość pełnej twarzy, usta cienkie, wydatne, oczy czarne, zasłonione długiemi rzęsami, spojrzenie zamyślone, głębokie i namiętnie melancholinje; ruchy powabne i spokojne. W jej oczach malowało się tyle smutku, tyle cichego, pokornego zwątpienia, że serce bolało. Patrząc na nią wspomniałem wiersz Malczewskiego: „Był to tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny.“ Biedna kobieta!

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

*Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.**)

I.

. . . .

. . . .

Marja Siemionówna Czegłokowa, rozmawiając pewnego dnia z Elżbietą, postrzegła, że ta była bardzo niezadowoloną z wielkiego księcia.

— Wasza Cesarska Mość — przemówiła smutnym głosem, — ludzie ogólnie utrzymują, że wielki książę od najmłodszych lat przywykł do pijaństwa.

Usłyszawszy po raz pierwszy o tym nałogu, carowa domyślając się że to może być tylko obmowa, domagała się od Marji Siemionówny dowodów.

— Nic łatwiejszego — odrzekła zuchwała Czegłokowa — W. C. Mość przekonasz się o tem własnemi oczami.

W kilka dni zdarzyło się, że w. książę zachorował i nie wychodził ze swoich pokojów. Marja Siemionówna przyszła go odwidzić i zarazem zaprosiła się do niego na objad. Piotr z chęcią ją zatrzymał i zasiadł razem do stołu. Podczas objadu, udając wesołą i czułą, powiedziała mu, że ma zamiar wyleczyć go szampanem. Podano butelkę. Wtedy zwinnie chwyciła za duży kielich, wrzuciła doń szczyptę tabaki hiszpańskiej, nalała winem i ofiarowawszy go do wypicia za zdrowie carowej, nie odjęła dotąd z rąk w. księcia, póki ten po kilku łykach nie wysuszył go do dna, poczem został całkiem odurzony. Zdradziecka dama dworu, pobiegła natychmiast zawiadomić o tem carowę. Elżbieta nie wiedząc o wszystkich szczegółach, gdy weszła do pokoju, z oburzeniem patrzała na swego siostrzeńca, będąc i tak wielce uprzedzoną przeciwko niemu. Odtąd ślepo wierzyła we wszystko, co Czegłokowa i jej spólnicy wymyślali na w. księcia. Tym zamiarom nieprzyjaciół, sprzyjały przedewszystkiem próżniacze życie i rozpusta księcia, w którą pogrążył się z nudów, tudzież słabość charakteru.

Gdy carowa już uwierzyła, że Piotr oddał się wszelkiego rodzaju zbytkom, wtedy nie tylko wstrzymała wypłatę corocznego podarunku na urodziny, wynoszącego 50 tysięcy rubli, lecz zmniejszyła nawet stołowe pieniądze, tak, że zdarzało się później, iż w. książę i jego goście często bywali głodni. Odtąd zaczął narzekać i zanosić skargi, co wszystko dochodziło uszu carycy, w rozmiarach znacznie przeistoczonych i powiększonych.

Wkrótce po ślubie w. księcia, carowa darowała mu Oranjenbaum, willegjaturę (uwiesielitielnyj dom) ongi znakomitego Mieńszczykowa. Z nadejściem wiosny, w. książę porzucał Petersburg, gdzie sposób jego życia podobny był chyba do życia więźnia stanu, i przenosił się do niej. Tam w oddaleniu od ciotki, bez wszelkiego przymusu, oddawał się manji strojenia swoich żołnierzy w niemieckie mundury i nauczania ich mustry pruskiej. Elżbieta widocznie była zadowoloną tem jego zajęciem, sądząc, że ono może go odwrócić od niebezpieczniejszych pomysłów, a przedewszystkiem od mięszania się do intryg politycznych; to też wydała rozkaz, aby wysłano znaczniejszą liczbę żołnierzy dla dokompletowania garnizonu Oranjenbaumskiego, zostającego pod rozkazami w. księcia, który ten dowód względów monarchini miał poczytywać za wielką łaskę. On też przyjmując tę grzeczność z największem zachwyceniem, z nowym zapałem oddał się namiętności przerabiania moskiewskiego na pruskie.

Niemcy oddawna przyzwyczaili się do łatwego zarobku (promyszljat) w państwie moskiewskiem. Wyniesienie księcia holsztyńskiego na w. księcia, i na następcę tronu, napędziło ich mnóstwo ztamtąd do nas. Żołnierze, znajdujący się u Piotra w Oranjenbaumie, byli niemal wszyscy Niemcy; prócz tego nazbierał on i porządniejszych, którzy znając się na muzyce debiutowali na dworze; z nich stworzył trupę aktorów i cieszył się przedstawianiem rozmaitych komedyj niemieckich. Teatr atoli i wojskowe popisy nie mogły zająć całego dnia, przeto godziny wypoczynku między niemi wypełniały nawyknienia, które z powierzchowności tylko nie były podobne do próżniaczego życia w Petersburgu, a w rzeczywistości przybrały inny kierunek. Znając dobrze jego skłonność nadzwyczajną do wszystkiego co pruskie, stronnictwo nieprzyjazne nie opuszczało najmniejszej sposobności, aby weń nie wmawiać, że wszyscy oficerowie pruscy po całych dniach tylko fajki palą, piją i w karty grają. Jeżeli nie w złej myśli, to dla samej rozpusty, młodzi ludzie z jego otoczenia do namowy dodali przykład, i wkrótce Piotr stał się nałogowym palaczem (trubokur), pijakiem i graczem.

Katarzyna tymczasem zachowywała się zupełnie odmiennie od swego małżonka. Posiłkując się opiekuńczemi skazówkami swej matki, księżnej Cerbst, zajmowała się przyciąganiem ku sobie wszystkich silniejszych na dworze. Gorąca namiętność do zabaw umilkła w niej przed pragnieniem zaszczytów, a chociaż dotąd nie potrafiła zaskarbić sobie przyjaźni carowej, za to umiała nakazać jej szacunek dla siebie. Lecz co trudniejsze do uwierzenia, to, że sama księżna Cerbst, która tak dobrze nauczyła córkę ostrożności, nie umiała jej zachować w stosunkach z Elżbietą. Carowa miała ją za przyjaciółkę, za siostrę, i z każdym dniem okazywała do niej coraz większe przywiązanie i bezgraniczne zaufanie. Pyszna z tego księżna, wkrótce zaczęła nadużywać swego znaczenia; zechciało się jej mięszać do dworskich intryg, być szafarką łask i kierowniczką potajemną ważniejszych spraw państwowych. Jej buta obraziła wszystkich faworytów, a ciekawość znużyła ministrów, w skutek czego połączyli się razem, dla rozdmuchania zazdrości w carowej i uwolnienia jej od jarzma, które niepostrzeżenie i dobrowolnie pozwoliła na siebie

---

*) Pamiętniki niniejsze, nigdzie dotąd drukiem nie ogłoszone, napisane po moskiewsku przez niewiadomego autora, albo jak niektórzy w Petersburgu utrzymują, przez Korfa, ober-policmajstra petersburgskiego za Piotra III. znajdowały się za panowania Mikołaja I. w archiwum tajnej kancelarji carskiej III. oddziału, zapewne jako konfiskata z odbytej rewizji; ztamtąd niepostrzeżenie przeszły one w ręce prywatne. Odpis, z którego tłumaczenie dokonanem zostało, jako wielce kompromitujący, był zakopany w Petersburgu i dopiero przed parą laty potajemną drogą dostał się do Galicji. Kilkunastoletnie przechowywanie w ziemi, spowodowało uszkodzenie rękopismu; pewna liczba kartek na początku razem z tytułową i kilka na końcu zbutwiały całkowicie, co zmusiło wydawcę, nieznającego pierwotnego tytułu, do nadania nowego: „Ostatni z Romanowych“ zdaje się najodpowiedniejszego treści dzieła. Tłumaczenie najdokładniejsze nawet co do stylu; jedynie miejsca zbyt rażące nagością skandalicznych scen, zostały nieco złagodzone. — Wracając do autora, z pewnością można twierdzić, że jest on spółczesnym opisywanych przez siebie wypadków. Widać w nim bystrego i pilnego postrzegacza, oraz typ surowego dworaka, wyznawcy serwilizmu, o którym Mickiewicz powiedział, że jest psa zaletą lecz nie człowieka; sługa wierny, rozżalony na swoją panią za zamordowanie pana, spisał dla potomności akt oskarżenia przeciwko niej, aby tem samem oczyścić swoje sumienie przed moralnem nawet spólnictwem zbrodni królobójstwa. Charakterystykę tak samego Piotra III jak i Katarzyny II. podaje autor jak najwierniej; nie szczędzi cara, ale za to piętnuje carowę jako jawną rozpustnicę i zbrodniarkę, której dziwnie do twarzy przystają demoniczne słowa pychy, wypowiedziane przez nią w dzieciństwie, w chwili wyboru pomiędzy matką a koroną: — „Ce m était aussi une affaire assez indifférente, mais la couronne de Russie ne me l’était pas!“ (własne pam. Katarzyny II.) Prócz ciekawości jaką budzą niniejsze pamiętniki, zawierające bardzo wiele oryginalnych poglądów i nowych faktów, publiczność polska znajdzie w nich pociechę dla siebie: bo jakkolwiek upadek nasz moralny był wielkim pod koniec ubiegłego stulecia, jest on wszakże niczem w porównaniu do potworności tego, co działo się wtedy u Moskali. Dowie on się także, jakie to są precedensa zdobiące dynastję fałszywych Romanowych.

(Przyp. wyd.)

włożyć. Zabiegi zostały wkrótce uwieńczone powodzeniem, i Elżbieta jak skoro dowiedziała się o wszystkiem, natychmiast zmieniła się dla matki Katarzyny odbierając jej swoje zaufanie. Przywiedziona do rozpaczy tym niespodzianym obrotem rzeczy, księżna Cerbst wyszukiwała wszelkich środków do naprawienia swej biedy. W tym celu prosiła o radę królów: pruskiego i szwedzkiego, lecz żaden z nich nie odpowiedział jej ani słowem. Prócz tego coraz trudniejszem stawało się dla niej wysyłanie do nich korespondencyj, i oto pewnego razu, jakiego użyła środka, aby wysłać list do króla szwedzkiego.

Na dworze był bal, na którym znajdowała się księżna Cerbst z w. księżną, córką; zaledwo rozpoczęły się tańce, gdy Katarzyna zbliżywszy się do starego Lestoka, który podług zwyczaju żartował z damami, rzuciła nań rękawiczką, oświadczając, że życzy sobie z nim tańcować. Lestok podejmując rękawiczkę, postrzegł w niej kartkę, a jako przebiegły dworak z uśmiechem odpowiedział w. księżnej:

— Chętnie przyjmuję wyzwanie Waszej Wysokości, lecz nim zwrócę rękawiczkę, będę prosił o drugą, bym mógł w imieniu Twojem doręczyć ją żonie, co będzie zupełną dla mnie nagrodą...

Po skończonych tańcach, Lestok bojąc się, aby carowa nie domyśliła się czego i nie kazała go zrewidować przy wyjściu, schował rękawiczki pod kamizelkę. Nie wszystkie atoli sprawki udawały się tak gładko księżnej Cerbst; z dniem każdym przybywały na nią nowe skargi i odkrywały się nowe intrygi. Cierpliwość carowej doszła do ostatnich granic; w skutek czego kazała opuścić księżnej państwo moskiewskie. Żegnając córkę, księżna była bardzo zgryzioną; sama Katarzyna z wielkim żalem patrzyła na wyjazd matki, lecz nadzieja tronu dodawała jej otuchy, a w krótce i miłość połączyła się z widokami dumy, aby zatrzeć ślady przykrego wrażenia.

Nie całe otoczenie w. księcia oddawało się tak jak on zbytniemu używaniu wina, grze i zabawom wojennym. Był pomiędzy nimi jeden, który wyróżniał się nie tylko zamiłowaniem sztuki i nauki, lecz nadto miał twarz przystojną i szlachetny układ. Był nim Sałtykow, szambelan w. księcia; a chociaż dzielił z nim wszystkie zabawy, był wstrzemięźliwym, przyzwoitym i trzeźwym; znał nieźle literaturę francuską, i umiał na pamięć lepsze wyjątki z Rasyna i Woltera, przyczem dodawał im szczególniejszego wdzięku, deklamując przyjemnym swoim głosem. Chociaż dopiero wyszedł z lat młodzieńczych, liczył jednak wiele wielbicielek pomiędzy pięknościami dworskiemi, a to powodzenie nie mało w dumę go wzbijało. Wprawdzie Sałtykow słynął między mężczyznami za nieśmiałego, ale to nie przeszkadzało mu być śmiałym i odważnym z kobietami; być może, że zadrżałby na widok nagiej szpady, lecz dla pomnożenia liczby swoich zwycięztw miłosnych, wyrażał się z całą pogardą o możności dostania się za to w stepy Sybiru; krótko mówiąc, mężowie w całym Petersburgu patrzali nań jako na najprzyjemniejszego, lecz zarazem i najniebezpieczniejszego kawalera.

Sałtykow nie wahał się rzucić wkrótce wzrok na małżonkę przyszłego pana swojego. Próżność więcej jak miłość podszepnęła mu zuchwały zamiar opanowania jej serca; zaczął tedy starannie dowiadywać się o jej skłonności i przekonał się, że pomimo niewoli, w której żyła Katarzyna, miała ona wielki pociąg do zabaw, i że życie samotne w Oranjenbaumie pobudzało ją do szukania rozrywek. Odtąd zaczął wynajdywać codziennie nowe zabawy, namawiał w. księcia do wydawania coraz częstszych festynów, które sam urządzał, dając przy tem do zrozumienia w. księżnej, że wszystko robi dla niej tylko, i że jemu jednemu powinna być za to wdzięczną. Katarzyna nie mogła pozostawać długo obojętną na tyle dowodów czułej troskliwości. Czarująca powierzchowność i rozum Sałtykowa, wywarły na niej wrażenie, a jego nadzwyczajna zapobiegliwość zapaliła iskrę miłości w jej sercu. Sałtykow wiedząc bardzo dobrze, że sympatja w. księżnej, znaczyła daleko więcej aniżeli miłość zwykłych kobiet, bał się nieostrożnie wynurzyć przed nią. Być może, że z początku tylko zamiarem jego było udawać namiętnie zakochanego, lecz potem w rzeczy samej stał się takim. W każdym razie, kochali się oni dosyć długo, nic sobie o tem nie mówiąc. Nieszczęśliwy wypadek przyspieszył jednak wyznanie...

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Wyprawa po zboże.

W ostatnich dniach lipca, z wielkim zadziwieniem ujrzałem olbrzymiego szejka Niambor, przy którym zostawiłem w okolicach Shir, majora Achmet-Rafika z żołnierzami dla nadzorowania uprawy zboża, w założonym folwarku. Natychmiast został do mnie wprowadzony, ze swymi doradcami, którzy mu towarzyszyli, poczem w krótkich wyrazach opowiedział powód odwidzin, i szereg złych wieści, jakie mi ze stron swoich przynosił. Cztery noce, ukrywając się w dzień w leśnych kryjówkach z obawy przed Barysami, spędził w drodze, spiesząc do mnie by najpierwszy opowiedzieć mi fakta, które z innych ust usłyszane, mogłyby rzucić cień na jego szczere względem rządu postępowanie. Wszyscy bowiem żołnierze, których przy nim zostawiłem, prócz Achmeta Rafika i kaprala byli zabici.

Kiedy Abou Saood przebywał okolice Shir, ludzie jego napadli tamtejszą ludność, uprowadzając znaczne stado bydła, mimo że wiedzieli, iż w sąsiedztwie znajduje się oficer rządowy z kilku żołnierzami. Poczem Abou Saood posłał w prezencie majorowi Achmetowi Rafik trzy krowy pochodzące z grabieży, które, zamiast zaprotestować przeciw dokonanemu rabunkowi, jako prawowity Turek chętnie przyjął, wpadając skutkiem tego w łapkę zręcznie zastawioną.

Krajowcy widząc te przyjazne stosunki, przybyli do szejka Niambor, a skarżąc się na napad niczem nie usprawiedliwiony, którego padli ofiarą, żądali, by odesłał oficera z żołnierzami z ich okolicy, gdyż według ich mniemania byli oni w zmowie z kompanją handlarską Abou Saoda. Gdy szejk nie uczynił zadość ich życzeniu, tłumacząc się tem, że póki nie otrzyma nowych odemnie rozporządzeń, ludzie ci zostaną pod jego opieką, krajowcy posądzając i jego o wspólnictwo, domagali się groźnie, aby Achmet Rafik i jego żołnierze zostali im wydani, w zamian za skradzione bydło. Niambor z uczuciem rzadkiej rycerskości, oświadczył stanowczo, że dopóki ze mną się nie zniesie, oficer i żołnierze znajdą u niego schronienie. Śmiałe to wystąpienie sprowadziło mu nocny napad, który z pomocą żołnierzy został odparty; Niambor jednak postanowiwszy za zaczepkę dać odwet, urządził na drugi dzień przy współudziale pięciu żołnierzy wyprawę na swoich sąsiadów. Po długim marszu i przebyciu kilka głębokich kanałów rzeki, szala bitwy przeważyła się na stronę wroga, a w spiesznym odwrocie, moi żołnierze nie umiejący tak dobrze pływać, jak ludzie Niambora, zostali otoczeni przez nieprzyjaciela, i w pień wycięci. Pozostał się tylko major Achmet Rafik i kapral, którzy jako słabi, nie towarzyszyli wyprawie. Dla ocalenia ich życia, Niambor na wielkie narażał się niebezpieczeństwa; obecnie byli ukryci w lesie o kilka mil od miejsca założonej stacji. Wysłałem zaraz po nich okręt z Niamborem i dwudziestoma ludźmi. Jednocześnie zawiadomiłem pisemnie Abou Saooda, że czynię go odpowiedzialnym za utratę pięciu ludzi z rządowej armji, spowodowaną nie dającym się niczem usprawiedliwić napadem i rabunkiem jego kompanji. Trzeciego sierpnia powrócił okręt, przywożąc majora, pozostałego przy życiu kaprala. Major uskarżał się zaraz na wstępie, że ludzie jego byli mu nieposłuszni, łącząc się wbrew jego rozkazowi z wyprawą szejka Niambor. Zbadawszy sprawę bliżej, dowiedziałem się ze świadectwa pozostałego kaprala, i żony jednego z zabitych żołnierzy, że Achmet Rafik rozkazał swoim ludziom, aby się połączyli z wyprawą Niambora, lecz teraz bojąc się odpowiedzialności za smutny koniec, przypisuje niesubordynacji żołnierzy nieszczęście spowodowane nierozważnym czynem.

Tymczasem zboże już dojrzało, i ja rozpocząłem żniwa. Ludzie moi myśleli jednak tak uporczywie o powrocie do Khartum, że wbrew moim rozkazom zbierali plon opieszale, nastręczając tem sposobność okolicznym Barysom okradania nas na wszystkie strony, aby puste spichlerze zmusiły nas potem do opuszczenia tych okolic.

Mimo to postanowienie moje było stałe, zwłaszcza że nie mogłem liczyć na dowóz zboża z Khartum. Obóz był już zbudowany, i silnie obwarowany, mogłem go więc teraz bezpiecznie na dni kilka opuścić, pozostawiając w nim małą załogę, a zabrawszy całą siłę wybrać się w razie potrzeby na wyprawę po zboże do Belinian, których od ostatniej mojej wycieczki umyślnie zostawiłem w spokoju, aby nie wzbudzić w nich podejrzenia o zamiarach jakie żywiłem względem ich zboża, które łącznie z żyznym plonem wysp po za górami Regiaf, miało nas obficie zaopatrzyć w ziarno na cały rok. Projekt ten trzymałem w ścisłej tajemnicy, najmniejsza bowiem niedyskrecja, mogła od razu zniszczyć przyszłość mojej ekspedycji. Abou Saood i większa część moich oficerów wyczekiwali z gorączkową niecierpliwością zakończenia dramatu, nad którego ostatnim aktem, z wyczerpaniem zapasów żywności, miała według ich wyobrażeń zapaść zasłona. Tak więc moi ludzie ułożyli sobie już naprzód plan, według którego postępując, mieliśmy w pośród obfitości zboża zostać z zapasem wystarczającym zaledwie

na wyżywienie nas podczas powrotu do Khartum. Wtedy wyprawa chybiona wywołałaby tylko pobożny okrzyk władz egipskich *El hambdl el Allah* (dzięki niechaj będą Bogu). Okolice Białego Nilu raz jeszcze wpadły by były w ręce Abou Saooda, a dobre dawne czasy, grabieży i handlu niewolnikami, wróciłyby były w dawnej świetności.

Gondokoro, czyli *Ismaila*, jakem przezwał mój obóz, był obwiedziony szerokim rowem, i ziemnym nasypem, nad którym górowały bastjony najeżone działami. O półtorej mili ang. oddalona moja stacja, była także dobrze zabezpieczona; pozostawiwszy w niej 50 ludzi, wyruszyłem 30. sierpnia 1871 r. z siłą 450 żołnierzy i jedną armatą.

Barysi z Belinian byli nie źle zaopatrzeni w broń palną, którą zrabowali w licznych rzeziach, dokonanych na różnych kompanjach. W jednej z nich zabiwszy 126 ludzi, przyszli w posiadanie ich broni, i całego zapasu amunicji. Często bardzo wycinali oni w pień mniejsze oddziały, a szczególnie w złych stosunkach żyli z Abou Saoodem, i to od czasu, gdy tenże zaprosiwszy ich szejka z całą rodziną, podstępnie przy uczcie kazał wszystkich wymordować. Odkąd jednak Barysi z Gondokoro połączyli się z nim przeciw ustanowionemu rządowi, Belinianie zaczęli powoli nawiązywać z Abou Saoodem stosunki handlowe, zamieniając tytuń na amunicję.

Po wydaniu rozkazu wieczorem, aby o pierwszej w nocy ludzie moi stanęli pod bronią, ku wielkiemu mojemu niezadowoleniu przyjechawszy do głównej kwatery o oznaczonej godzinie, nie zastałem ani ludzi ani oficerów, a pułkownik Raauf Bey zaledwie został przez wartę zbudzony. Było to jawne przekroczenie dyscypliny wojskowej, świadczące o nieprzychylnem usposobieniu armji dla całej wyprawy. Nie wahając się jednak, zarządziłem co należało, i po krótkiej zwłoce puściliśmy się w drogę. Wśród ciemnej nocy nie zauważałem natychmiast nieobecności majora Achmeda Rafika; oficer ten, z krwi i kości Turek, chociaż długo służył w armji, i był w niejednej wyprawie, biorąc udział w wojnie Krymskiej, i służąc pod Abbas Paszą w Arabji, nie mógł przenieść na sobie, aby opieszałem wykonaniem rozkazów nie objawić swego niezadowolenia, i zamiast być na swojem stanowisku, spał jak bobak, gdy wojsko ruszyło już w pochód. Zbudzony, chciał nas dogonić, a zebrawszy się pospiesznie ruszył szybko za nami.

Zaczęło już świtać, gdyśmy stanęli w dolinie Belinian. Liczne wsie rozrzucone na całej przestrzeni, ukazywały same wierzchołki z nad łanów dury, która dojrzawszy zupełnie, czekała tylko zbioru, udzielając jednocześnie korzystnego ukrycia dla działań wojennych tutejszej ludności, która pod tą osłoną może swobodnie i szybko się przemykać. Szpiegi okoliczne rzuciły już alarm, rozpuszczając więc tyralierkę bokami, szliśmy dalej ścieżką prowadzącą u stóp góry, aż nareszcie znaleźliśmy się na otwartej łące, która wyciśniętemi śladami kopyt, świadczyła o znacznem stadzie pasącego się tu niedawno bydła.

Po prawej stronie nieurodzajne i piaszczyste podnóża gór leżały odłogiem, odsłaniając nam szeroki widok na całą okolicę; zdaleka ujrzeliśmy znikające bydło, zagnane w góry, i znaczne oddziały mieszkańców, gotujących się widocznie na nasze spotkanie.

Począwszy od pozycji którą zajmowaliśmy teraz, przestrzeń zieleniejącego się błonia spadała od stóp wyniosłych gór, rzędem coraz zmniejszających się pagórków przez półtorej mili. Częste wsie otoczone obronnym parkanem, jeżyły się na znaczniejszych wyniosłościach i porozbijanych skałach granitowych, które wyglądały jak podwaliny olbrzymich gór przez czas rozwalonych.

Kazałem jednemu pułkowi rozwinąć się w dwa szeregi i ruszyć naprzód, podtrzymując ich pochód rezerwą z działem. Na skrzydle oddział „Czterdziestu" szedł frontem odważnie, przez błonie ku górom, i tak postępując dotarliśmy do pierwszej zagrody, a następnie ze wsi do wsi odpieraliśmy mieszkańców, którzy odstrzeliwając się opuszczali swoje pozycje, cofając się ku wzgórzom.

Z prawej strony osłaniał nas głęboki wąwóz, wyrwany spływającemi z gór strumieniami; wziąwszy moich „Czterdziestu" puściłem się jego brzegiem ku wsiom obronnym wznoszącym się na wzgórzach. Zebrani tłumnie mieszkańcy obrzucili nas z wysokości swoich pozycji powodzią śmiesznych arabskich epigramów, poczem gdyśmy się zbliżyli na jakie dwieście kroków, rozpoczęli z poza parkanów gęsty ogień karabinowy. Strzelcy moi, przyklęknąwszy odpowiadali znakomicie, mierząc poniżej linji oznaczonej lekkim obłokiem dymu, gdyż tylko tym sposobem można było obliczyć położenie strzelającego. Była to ulubiona walka Barysów, którzy mogąc się skryć za obronne pale swoich fortec, razili żołnierzy; jeden z nich odebrał nawet lekką ranę; obejrzawszy go, przekonałem się, że tylko ciało było przestrzelone, bez naruszenia kości, mógł zatem dalej być czynnym. W tem druga kula utkwiła w łydce żony jednego z żołnierzy, która towarzysząc swemu ulubionemu z garnuszkami jedzenia, znalazła się w ogniu. Podczas gdyśmy tak stali w kilkadziesiąt tylko ludzi, wystawieni na ogień rażący nas z wewnątrz ogrodzeń, reszta wojska wlokła się powoli, odstrzeliwając się Belinianom stojącym po drugiej stronie nieprzebytego wąwozu. Rozkazałem tedy zebrać wszystkie siły, postanowiwszy całą siłą uderzyć na zagrodę. Po sformowaniu szeregów zakomenderowałem: naprzód! i bataljony wystrzeliwszy kilka razy ruszyły do ataku, zdobywając w kilka chwil całą pozycję. Ten prędki manewr, doskonale wykonany przez moich żołnierzy, przeraził Barysów, którzy mając do czynienia tylko z nieregularnem wojskiem kompanij handlarskich, nie widzieli nigdy szarży z bagnetem w ręku. Wyparci z obronnych stanowisk zaczęli uciekać szybko, spinając się jak dzikie kozy na skaliste odłamy gór, zachęcani do odwrotu nieustającym ogniem karabinowym, i przerażającym dla nich odgłosem działa. Po zdobyciu wzgórza zająłem się wyszukaniem dogodnej pozycji na nocleg, rozpościerając się na otwartej płaszczyźnie; ognie wkrótce zaczęły płonąć, a zabrane kozy i owce, zatknięte na rożnach, piekły się wydając przyjemną woń dla pustych żołądków. Brak nam było tylko dobrej wody, gdyż ta, którą znaleźliśmy na miejscu była poprostu rzadkiem błotem i w dodatku mocno cuchnącem kozami.

Wzmocniwszy straże na noc, pokładliśmy się na spoczynek, używając go bez przerwy aż do samego rana. Byłem tylko niespokojny o majora Achmeta Rafika; oficerowie upewniali mnie bowiem, że musiał za nami podążyć, znali go oni z tej strony, że nie zechciał by dobrowolnie zostać w obozie, gdy oddział jego wyruszył na nieprzyjaciela, ja zaś wiedząc, że Barysi nigdy nie biorą niewolników, uważałem go za zabitego, jeżeliby wpadł im w ręce.

Na drugi dzień rano, kazałem mojej armji posuwać się ku północnej stronie doliny, gdzie zauważyłem długi rząd zagród, zbudowanych na znacznej wysokości, panującej nad płaszczyzną, zkąd wspaniały roztaczał się widok na całą dolinę i gór podnóża. Dostawszy się na tę wyżynę, która ciągnęła się dalej nieprzerwaną płaszczyzną, pokrytą dojrzałemi łanami dury i gęsto rozsianemi zagrodami, przywitał nas odgłos alarmującego bębna. Podejrzywając Barysów, czy przypadkiem nie urządzili małych zasadzek pod osłoną dury, puściłem w sam środek zboża kilka rakiet, które chałaśliwie prując powietrze, pękały nad chałupami i zagrodami, sprawiając przerażający efekt na mieszkańcach tamże się znajdujących, a nie obznajomionych z podobnemi cudami. Jednocześnie wyrzucony granat, przeleciał hucząc po nad pola dury, a padając w środek zagrody, rozpękł się na pięćset kroków w około, napełniając dzikich trwogą paniczną; w tenczas rzucając się z bagnetem w ręku na przód przez zboża, zdobyliśmy pierwszą zagrodę prawie bez oporu nieprzyjaciela, cofającego się pod przestrachem poprzednich eksplozyj. Na przestrzeni czterech morgów, znajdowało się sześć takich silnie obwarowanych miejsc, które zdobyte przedstawiały dla nas bardzo korzystną pozycję. Po zajęciu jej rozkazałem natychmiast sprzątnąć durę z pobliża, otwierając tym sposobem dokoła naszego stanowiska wolne i otwarte miejsce. Podczas tego podwojone warty, i na samych wierzchach najwyższych chałup postawione straże pilnowały poruszeń nieprzyjaciela; z zachodem słońca mieliśmy już sześć morgów zerzniętego zboża.

(C. d. n.)

OPRYSZEK.

Obrazek z życia Pokuckich Górali

przez

MARJĘ B.

Oto dumne skał granity
Kąpią w chmurach ciemne czoła;
Ciemne lasy do okoła,
I iskrzące nieb błękity;
Uroczyste wieją cisze...
Tylko z głuchym szumem spada
W brylantowy deszcz kaskada.
Ustrojona w dzikie róże;
Orzeł skrzydłem zakołysze,
Lub zawarczy piorun w chmurze;
Czeremoszu wstęga sina
Zapienione fale toczy...
Pięknaż, piękna to kraina!...

Mgły spływają o wieczorze —
Gdzieś po górach wichry świszczą,
A w jodłowym gęstym borze
Brzmią piosenki, ognie błyszczą.
Przy nich, jak piekielne cienie,
Na zielonej łąki szacie,
Rozświeconej przez płomienie,
Liczne snują się postacie.
W oczach zapał lśni pijany,
Ogniem gore twarz ich śniada;
Bujny, wiatrem roztargany
Na ramiona włos im spada.
Wyostrzone jasne noże

Za rzemiennym błyszczą pasem;
A nad niemi — a nad lasem —
Niebo, jak północne zorze
Barwi ognisk blask jaskrawy,
W długie smugi je czerwieni...
Równie łziki, równie krwawy,
Ton góralskich brzmiących pieni —
Jak pęknięta dźwięczy struna...
Z serca ludu to wysnuta,
Bujająca w tej przestrzeni,
Jego druchna i piastuna,
Kołomyjki tęskna nuta!
Lecz dziś groźna, zmienna, nowa,
W ton ich duszy nastrojona,
Jakby burza piorunowa
Dzikim pędem rwie się z łona;
Jak przeczucie mknie złowieszcze
I opada na skał szczyty...
Gdzie jej echem dźwięk odbity
Długo — długo słychać jeszcze.

Ciężkie troski goszczą w łonie
Dziwnych nocnych biesiadników;
Więc wśród hucznych śpiewów, krzyków,
Chylą czarki — aż w nich czarna,
Niespokojna myśl utonie —
I rozmowa płynie gwarna.
Zdala od nich na uboczy
Młody góral siadł w zacieniu —
I posępne czarne oczy
Wzniósł ku niebu w zamyśleniu.
Czarny, jak jaskółcze pióra,
Na ramiona włos mu spada;
A na czole jego chmura —
A twarz jego smutna, blada...
Na toporku rdzawym wsparty
Nieruchomy — jakby z głazu —
Patrzy w błękit rozpostarty
Nad tłem ciemnem krajobrazu.

— „Oj, coś smutny nasz Watażka!
Coś Dmytrowi nie wesoło...
Patrzcie — patrzcie! — schmurzył czoło,
Zadumany siadł pod drzewem...
A zaczepić, nie igraszka!
Bo jak Dmytro zawre gniewem,
To na miejscu ściele trupem!
Ha! uroki ktoś nań rzucił...
Wszak dzisiejszym naszym łupem
On się zgniewał i zasmucił...
Wszakże teraz ni hulanki,
Ni wspominaj mu kielicha...
Całe noce — całe ranki —
Tylko duma, tylko wzdycha,
Gdy tak będzie — co mówicie?
Niechaj inny nam przewodzi!
Bo burzliwe nasze życie
Z jego smutkiem się nie zgodzi."

Tak rzekł z grona chłopak młody.
Oko jego lśni odwagą,
Zrumienione ma jagody,
Włos zburzony i pierś nagą.
— „Cicho... cicho! milcz Fedorze!"
Szmer niechętny powiał z koła.
— „On usłyszeć jeszcze może!
A co wtedy?... o! zuchwalcze
Nikt ocalić cię nie zdoła...
Nie zaczepiaj Dmytra, malcze!"
Chłopak umilkł...
— „O, nie radzę!"
Rzekł znów góral w wieku sile —
— „O tem myśleć choć przez chwilę!
Któż wyrówna mu w odwadze?
Któryż, jak ten sokół młody,
Nie drgnie nigdy grozą śmierci?
Wskoczy w ogień, czy do wody,
Niebezpieczeństw się nie zlęknie,
Choćby zrąban miał być w ćwierci?"

— „Wszystko dobrze, wszystko pięknie!"
Przerwie Fedor niecierpliwie —
— „Ale przyznaj mi, Kiryło,
Chcąc już mówić sprawiedliwie,
Że to kiedyś, kiedyś było!
Dzisiaj... patrząc się na niego,
Bracia! ściska mi się serce...
Cóż z zapału w nim dawnego?
Czy tli jeszcze choć w iskierce?
Gdzież napady jego głośne?
Gdzie sławione męztwo, śmiałość?
W oczach — dumka, w słowach, — żałość!...
Piosnki nucić mu miłośne
I samotnym być najmilej.
Nie dbam, choć nie dacie wiary,
Nie dbam, choćbyście ganili
Że tak mówić się odważam.
Ja wam mówię i powtarzam;
Że to zdrada, albo... czary!"

— „Prawdę mówisz!... oj to czary!"
Rzekł, jak ojciec między dziatwą
Tam siedzący góral stary;
— „Lecz odżegnać je nie łatwo! —
Trudniej, niźli gdyby chytra
Je rzuciła czarownica,
Bo spętała tak Dymitra
Jasnowłosa krasawica!
A uroku takiej siły
Oj nie łatwo pozbyć można.
Ni modlitwa go pobożna
Ni go baby przemówiły
Nigdy jeszcze!.. ztąd ponura
Troska, trawi jego życie —
Bo to innych światów dziecię,
To dziedzica piękna córa!
Anioł boży — nie panienka!
Tak serdeczna, słodka, tkliwa,
Dobroczynna litościwa —
Złotowłosa, jak jutrzenka!
Posłuchajcie! — wszakże wiecie,
Jeszcze dzieckiem Dmytra znałem,
W młodych latach wiele w świecie
W tłumie ludzi przebywałem.
Wielem przeżył... widział wiele...
Lecz przysięgnąć mogę śmiało,
Żem nie widział w dziecka ciele
Taką duszę zamieszkałą!
Pomnę jeszcze — gdy przy matce
Dmytro, wówczas chłopiec mały,
W w ziemię wpadłej, biednej chatce
Żył swobodny, dzielny, śmiały.
Był już wtenczas w rówienników
Najsilniejszy zawsze gronie;
Gdy wśród młodych zapaśników
Wszczynał walki lub pogonie...
Tak mu biegły chwile złote!...
Ale wtenczas już pachołę,
Dziwny zapał i tęsknotę
Na szerokiem niosło czole!
W chatce było mu za ciasno —
Dusza rwała się skrzydlata,
Parta sławy żądzą jasną
Na dalekie krańce świata!...
Nieraz pełnem ognia okiem
Ścigał w locie orle skrydła,
Pragnął z rwiącym biedz potokiem
Gdzieś po śmiałych snów mamidła.
Biedny Dymitr! Z młodą wiarą —
Co nas w ranku życia łudzi
Ufał w przyszłość... kochał ludzi,
A nad wszystko — matkę starą!
Ciężko! ciężko miał się zbudzić...
Ach na zawsze, ach zawcześnie!
I zapłakać raz boleśnie,
I już niczem się nie łudzić...
Przyszły w krótce ciężkie lata:
Plon zabiły słoty, grady,
W wichrze drżała stara chata,
A na matki twarzy bladej
Smutek, nędza, i choroba
Wyorały ślad zniszczenia;
I mijała każda doba,
Nic nie niosąc prócz cierpienia,
Dymitr widząc, jak od chwili
W której nędzę ich dostrzegli,
Ludzie od nich odstąpili,
Blizcy krewni ich odbiegli —
Kipiał w duszy — ale matka
Polecając Bogu dziecię
Cichą była do ostatka,
Aż jej z piersi zbiegło życie.
On bez skargi, bez łzy jednej,
Bez współczucia i pomocy
Sam, przez trzy dni i trzy nocy
Przy jej zwłokach czuwał biedny.
Przebolawszy ciężką stratę,
Szedł o pogrzeb prosić księdza;
Ten zapytał o zapłatę —
Chłopiec odrzekł: — „U nas nędza"...
„— A więc sam ją chowaj chłopie!"
Krzyknął z gniewem, rzucił drzwiami.
Dymitr jęknął tu zalany
Tłumionemi długo łzami.
„— A więc sam jej grób wykopię!
Sam pogrzebię moją świętą —
Lecz się mściciel niezbłagany
Zrodzi w chwilę tę przeklętą!"
Gdy nad ziemią noc zawisła,
Nadpróchniała chatka stara
W łunie jasnych ogni błysła,
I spełniła się ofiara...
Młody chłopak w dzikim szale
Klękł, i przysiągł na ruinie
Nienawidzieć wiecznie — stale
I dla zemsty żyć jedynie.
A dotrzymał swej przysięgi!
I wykończył dzieło potem,
Bo piekielne je potęgi
Sprzymierzonym kuły młotem!
Bo się błąkał pierwej długo
Pod rodzinnej wioski niebem,
Żyjąc pracą i wysługą,
Lub jałmużny gorżkim chlebem.
Nie miał nigdy w ustach skargi...
Ile bolów w pierś mu ściekło,
Jakie w łonie wrzało piekło
Nie zdradziły ścięte wargi
Aż rozbrzmiały w koło góry
Echem dzikiej Dmytra sławy,
Aż blask łun uderzył w chmury
I zdjął maskę — mściciel krwawy!"

Zamilkł starzec i w ponurem.
Głowę zwiesił zamyśleniu;
A Opryszki w uniesieniu
— „Chwat!" — rozgłośnym wrzaśli chórem.
Starzec zadrżał.
„— Bracia, ciszej!
Tryumfować dziś zawcześnie.
Patrzcie... on tam... śni boleśnie...
On złamany... niech nie słyszy!
Raz widziałem, jak pod dworem
Siedział smutny, tej panienki,
Gdy z okienka nad wieczorem,
Wzlatywały jej piosenki.
Słuchał... potem, co na wieki
Takiej duszy czyni zakał,
Łza mu błysła z pod powieki
Zakrył oczy i... zapłakał!"
„— Czy być może?!" — z podziwieniem
Zawołało całe grono;
„— On! z niezłomnem tem ramieniem
On! — z tą duszą niewzruszoną?
Szatan chyba w tej kobiécie!
Albo z ciebie dziś oszczerca,
Bo czyż można zmienić życie
I w łzę stopić krzemień serca?
Zemsta... zemsta jego małą!
Choć mu drogę los zastawi
Próżnym żalem, czy kobietą,
Taki płomień wszystko strawi!
Pocóż miękie dumań chwile?
Złamie skrzydła sokół młody,
Bracia! razem stańmy w sile
I usuńmy mu przeszkody!
By nie szukał gwiazd i nieba,
A położył koniec męce,
Upragnione cacko w ręce
Dać na chwilę mu potrzeba...
Prędko miną te zapały,
Prędko rzuci je znudzony —
A nam Dymitr, wódz nasz śmiały
Znowu będzie powrócony!"

Przyklaśnięto: wszyscy w koło
Obok mowcy się gromadzą;
On sam umilkł, podparł czoło,
Oni z cicha gwarzą — radzą.

(C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział I.

Miłe te zajęcia i połączone z niemi obfite libacje pozbawiły były naszego bohatera zimnej krwi i rozwagi potrzebnej w interesach, i przeszkodziły mu porozumieć się z p. Gomułowiczem, którego zręczność mogła go wybawić od niewoli bergerowskiej. P. Alfred nie widział na razie innego sposobu naprawienia popełnionych błędów, jak tylko ten jeden, że wziąwszy ze stolika imponujące wielkością i kolorem liścia *regalia*, ofiarował je uprzejmie p. Gomułowiczowi.

— Hm, hm, zauważył ten ostatni, kiwając głową na prawo i na lewo, przypatrując się ciekawie temu przedmiotowi całopalenia i chowając go do kieszeni. — Więc to, proszę pana dobrodzieja, pani Zamecka życzy sobie zaciągnąć pożyczkę bez wiedzy swego męża, i byłaby gotową podpisać konsens tabularny?

— Tak, panie.

— To zmienia zupełnie postać rzeczy. W takim razie, nie jeden tylko Tetrzycki gotów byłby dać pieniądze. Ja sam mam obecnie do dyspozycji pewien kapitalik, który mogę ulokować, jeżeli się znajdzie zabezpieczenie hipoteczne. Suma potrzebna wynosi dwadzieścia pięć tysięcy, jeżeli się nie mylę? Tak. Z kosztami sądowemi i t. p. wyniesie to w okrągłej liczbie trzydzieści tysięcy, ale p. Zamecki zapisał żonie stotysięcy, jest przeto hipoteka wystarczająca. Czy sprawa bardzo jest naglącą?

— Każdy dzień zwłoki jest zabójczym dla p. Zameckiej.

— Więc wygotuję natychmiast papiery, które musi podpisać p. Zamecka, a pan dobrodziej musi pojechać z niemi do Rymiszowa i przywieść mi podpis. Tetrzyckiemu zaś powiem, że obejdziemy się bez niego, i kwita. Prosiłbym tylko o pieniądze na stęple, które kosztować będą bardzo wiele.

— Ileż mam dać?

— Zaraz panie dobrodzieju.—Tu p. Gomułowicz wyjął ze swojej kapoty książeczkę z notatkami tak olbrzymią i tak źle utrzymaną jak pugilares p. Bergera, i zapomocą wielkich, w róg oprawionych okularów, wydobył z jej rozszarpanego wnętrza tę szacowną informację, że stęple na skrypcie dłużnym i na podaniu intabulacyjnem wyniosą razem 101 złr. 25 centów. P. Alfred bez wahania się wyjął dwie setki i podał je z gracją p. Gomułowiczowi, zapytując, ile żąda za doprowadzenie do skutku całego tego interesu?

— O, o tem czas będzie mówić przy wyliczeniu pożyczki. Panu dobrodziejowi wiadomo, że nie jest moim zwyczajem korzystać z przykrego położenia moich klientów. Kto mi powierzy swoje interesa, tego uważam za przyjaciela i służę mu o ile mogę bezinteresownie. Ot, byle człek wyżył ze swojej pracy, bez obrazy Boga i ludzi!

P. Alfred, który znał p. Gomułowicza oddawna, musiał zapewne wiedzieć o wielu dowodach bezinteresowności swojego rzecznika, ale jakoś żaden z nich nie wpadł mu na myśl w tej chwili, chociaż wypadało odpowiedzieć komplimentem na skromne zapewnienia szanownego mecenasa. Zamiast więc wyrazić uznanie należące się jego cnotom, p. Alfred zapytał tylko, czy może liczyć z pewnością na to, że interes będzie zrobiony? P. Gomułowicz zapewnił, że pieniądze są już, jakby w kieszeni, i obiecał nazajutrz rano przynieść wygotowane do podpisu dokumenta prawne.

Gdy prawnik oddalił się, p. Alfred po chwili rozmyślania powiedział sobie, że najważniejszą i najtrudniejszą część interesów, w których przyjechał do miasta, załatwił nader pomyślnie. Zostawało mu jeszcze odwidzić p. Drozdowską i p. Skryptowicza, i uspokoić Bergera jakim sposobem. Do tej ostatniej czynności nastręczyła mu się sposobność natychmiast, finansista pomieniony czekał bowiem na schodach na p. Gomułowicza, a gdy ten wyszedł, pomówił z nim kilka słów i zapukał potem do pokoju p. Zgorzelskiego. Nie posiadam dokładnej relacji o przebiegu rozmowy, która nastąpiła między p. Alfredem a p. Bergerem, i tylko z opowiadań sąsiadów wiadomo mi, iż w kwadrans później widziano p. Bergera schodzącego z pierwszego piętra na dół z nadzwyczajną szybkością, tak, jak gdyby mu kto na górze udzielił impulsu potęgującego naturalną działalność nóg ludzkich. Z tego domyślam się, że p. Alfred żądał zapewne od swojego bankiera cierpliwości aż do ukończenia interesu z p. Gomułowiczem, że p. Berger żądał za tę przysługę więcej pieniędzy, niż chciał i mógł dać p. Zgorzelski, i że ten ostatni, zniecierpliwiony zbyt wielkiemi wymaganiami, a pewny siebie z powodu dobrego rezultatu konferencji z p. Gomułowiczem, postąpił z p. Bergerem tak, jak św. Michał na obrazie Giotta postępuje z szatanem. Gdyby nie brak skrzydeł i miecza ognistego po stronie p. Alfreda, porównanie to byłoby wcale trafnem, i chromałoby jeszcze tylko w tym punkcie, że archanioł strącił szatana do piekieł, podczas gdy p. Alfred strącił go tylko ze schodów.

P. Berger odgrywał przy tem wzorowo rolę książęcia ciemności, i najmniejszym ruchem albo słowem nie usiłował po suć całości obrazu, co byłoby niezawodnie nastąpiło, gdyby się był n. p. chwycił poręcza i zaczął krzyczeć, albo w inny jaki sposób starał się pozostać na wysokości pierwszego piętra. Zachował on się owszem jako szatan wybornie tresowany, i przyzwyczajony do znikania przed archanielską jasnością, albo innemi słowy, jako faktor któremu gimnastyczne ćwiczenia pewnego rodzaju nie były obcemi. Jedynie wyraz twarzy i wzroku tego szanownego obywatela zdradzały niechęć wewnętrzną i zdawały się wypowiadać walkę na zabój zwycięzkiemu przeciwnikowi. Znalazłszy się na dole, p. Berger oglądnął się swoim zwyczajem w koło, a stwierdziwszy, że nikt go nie widzi, spojrzał w górę i ujrzał p. Alfreda, który mu się przypatrywał dla nabycia pewności, czyli impet udzielony mu wystarczył do osiągnięcia zamierzonego celu. W ówczas finansista pożółkł cokolwiek więcej niż zwykle, pogroził p. Alfredowi zaciśniętą pięścią i znikł.

W kilka minut później, pani Skryptowiczowa była w niezmiernym ambarasie. W nieobecności j j męża, jakiś pan bardzo przystojny i bardzo przywoicie się prezentujący, wszedł do kuchni stanowiącej drugie wyjście z pomieszkania zajmowanego przez rodzinę p. Karola, zapytał, czy państwo są w domu, a dowiedziawszy się od sługi, że jest tylko pani z pannami, przez pokój jadalny i sypialny bez wszelkiej ceremonji wkroczył do bawialnego i przedstawił się jako Alfred Zgorzelski, dobry znajomy męża pani dobrodziejki a wielki przyjaciel p. Tadeusza Zameckiego, który niezawodnie także musi być doskonale znanym pani dobrodziejce. Panny poznały napastnika, który je ścigał rano, i były niezmiernie zażenowane. Pani Skryptowiczowa, usłyszawszy nazwisko gościa, przypomniała sobie, że indywiduum zwane Alfred Zgorzelski było właśnie tem, któremu jej mąż dzisiaj właśnie przez całą godzinę obiecywał połamać kości. Było więc rzeczą oczywistą, że gdyby p. Karol nadszedł, nastąpiłaby jakaś scena okropna; pani Skryptowiczowa drżała tedy z obawy i w ogóle przyjęcie p. Alfreda było tak lodowate, jak przyjęcie wyprawy arktycznej pod ośmdziesiątym drugim stopniem północnej szerokości. P. Zgorzelski nie dał się wszelako tak łatwo zbić z toru. Z największą swobodą zajął wskazany mu w milczeniu fotel i począł rozprawiać szeroko o dobrej i miłej pamięci, w jakiej zachowuje p. Karola całe towarzystwo pp. Zameckich w Rymiszowie, i o wszystkich zaletach i zasługach, dzięki którym tenże p. Karol na pamięć podobną zasługuje, a które spotęgowane są jeszcze okolicznością, iż p. Skryptowicz posiada tak miłą rodzinę. Nadmienił dalej p. Alfred, iż nie było mu wiadomem, że państwo Skryptowicze mają aż trzy córki — a p. Skryptowiczowa była w coraz gorszym ambarasie i nie wiedząc, co ma powiedzieć, zrobiła uwagę, iż na wsi państwo Zameccy muszą mieć bardzo mało towarzystwa. P. Zgorzelski począł natychmiast wymieniać wszystkich naszych znajomych z Rymiszowa, i skończył na p. Wacławie Rolińskim, o którym wiedział bardzo mało, ale zawsze wiedział, że jest wielkim *protégé* pani Zameckiej i towarzyszy jej w przejażdżkach konnych. Wśród tego wszystkiego, jedna z trzech panien — wiemy która — zarumieniła się mocno, a potem zbladła okropnie.

— Helenko — odezwała się do niej p. Skryptowiczowa — tobie niedobrze, może się pójdziesz położyć?

— Nic, dziękuję cioci, nic mi nie jest.

Tym sposobem p. Alfred dowiedział się, że panienka, do której zbliżył się był rano, jak Faust do Małgorzaty, i której rysów twarzy nie rozpoznał był wówczas dokładnie z powodu, iż miał wzrok nieco zamglony, panienka ta tedy nazywała się Helena i nie była córką, ale siostrzenicą pp. Skryptowiczów. Nie było wszakże czasu do dalszego rozpoznawania tych faktów, w tej samej chwili bowiem p. Karolowa wstała widocznie pomieszana, zajrzawszy w okno, i rzekła:

— Mój mąż właśnie wraca do domu....

Miała-ż dodać, że to powinnoby było skłonić p. Alfreda do wyniesienia się drugiemi drzwiami? Nie mogła mu dać tej rady, chociaż pragnęła tego z całej duszy. Panny spojrzały w okno, i ujrzały p. Karola zbliżającego się do drzwi z jakimś drugim, niesłychanie wysokim i barczystym jegomością — spojrzały na panią Skryptowiczowę, i domyśliły się, że zanosi się na jakąś niebywałą burzę domową, bo przeczucia złowrogie malowały się w twarzy ich matki i opiekunki. W skutek tych spostrzeżeń i domysłów, panny wyniosły się, niby na powitanie p. Skryptowicza, w istocie zaś, odbywszy tę ceremonję jak najkróciej, drzwiami od pierwszego pokoju wyniosły się do sieni, a ztamtąd, do kuchni.

Pani Skryptowiczowa zajęła stanowisko na drodze, którą wyszły, t. j. w drzwiach prowadzących z bawialnego pokoju do sypialni p. Karola,

Za chwilę, p. Alfred mógł słyszeć następującą rozmowę:

— Moja duszko, oto jest p. Adam Tetrzycki, dawny i dobry mój znajomy.

— Hohoho! — zagrzmiało coś głosem donośnym jak trąba archanioła, i z archanielskiej wysokości, — to-ż to i my się przecież znamy nie od dzisiaj, pani dobrodziejko, tylko że dawno nie miałem przyjemności ucałować jej rączek. A jak to mi pani dobrodziejka wygląda! Cóż porabia konsolacja? Tu właściciel potężnego głosu pochylając się, ażeby nie uderzyć głową o oddrzwie, wsunął się do bawialnego pokoju, ucałował rączki p. Skryptowiczowej z łoskotem odpowiadającym temu, jakiby sprawiło spadnięcie dwóch korcy pszenicy na bruk ze znacznej bardzo wysokości, i wyprostował się nakoniec w całej potędze swoich siedmiu stóp wzrostu. Był to szpakowaty jegomość w długim granatowym surducie, zapiętym aż pod szyję, i ozdobionym na piersiach wstążeczką od krzyża zasługi wojskowej. W jednej ręce trzymał kaszkiet o szerokiem, płaskiem denku, a w drugiej laskę okutą żelazem i zastosowaną pod względem rozmiarów do swojego właściciela.

— Oto skwar, pani dobrodziejko! grzmiał dalej Goliat, ocierając kraciastą chustką pot z czoła.

— W istocie, szepnęła pani Skryptowiczowa głosem zaledwie dosłyszalnym, mamy bardzo gorące lato. Jest tu, dodała jeszcze ciszej, zwracając się ku drzwiom, jest tu... pan Zgorzelski.

— To dobrze — rzekł pan Karol — zostaw nas tutaj samych i zamknij na klucz drzwi od swego pokoju. Tylko zaraz!

Teraz dopiero bezstronny widz mógłby się był przekonać, że jeżeli pani Skryptowiczowa obawiała się sceny, to nie obawiała się natomiast bynajmniej o p. Alfreda. Z rodzajem uspokojenia zmierzyła kolosalną postać pana Tetrzyckiego, i wyszła stosownie do polecenia, otrzymanego od męża.

— Mówiłeś mi pan tedy, panie Adamie — ciągnął powoli p. Karol, zamykając najpierw drzwi prowadzące z jego pokoju do sieni, a potem przechodząc przez bawialny pokój i zapewniając się, czy drugie drzwi były zamknięte. Mówiłeś mi pan tedy, panie Adamie...

P. Alfred patrzył w zdumieniu na gospodarza domu, który zdawał się nie spostrzegać jego obecności. Nazwisko p. Tetrzyckiego zaniepokoiło go było przed chwilą, ale ponieważ nie znał go i nie był mu znanym osobiście, więc na razie pomyślał sobie, że niespodziane to spotkanie nie pociągnie za sobą zbyt niemiłych skutków. Teraz dopiero, w skutek dziwnego zachowania się pana Karola, niedawny pogromca Bergera czuł się w bardzo fałszywej pozycji i przeklinał chwilę, w której przyszło mu na myśl robić wizytę pp. Skryptowiczom.

— Za pozwoleniem — przerwał p. Tetrzycki p. Karolowi — nie jesteśmy sami. Czy nie lepiej byłoby pomówić *in camera charitatis* o tak delikatnej materji?

— Przeciwnie, mojem zdaniem jest to bardzo niedelikatna materja, i z którą *charitas* nie powinna mieć nic do czynienia. Mówiłeś mi pan, ale siadajże tymczasem, panie Adamie, mówiłeś pan, że pisarz pokątny Gomułowicz proponował panu nabycie wekslu, opiewającego na 25.000 zł. i podpisanego przez p. Tadeusza Zameckiego, przez panią Helenę Zamecką i przez kogoś trzeciego?

— Przepraszam, — odezwał się p. Alfred głosem cokolwiek niepewnym — zdaje mi się że przeszkadzam... pozwól pan, że pana pożegnam...

— Tam w bramie, — rzekł p. Karol zwracając się do pieca, jak gdyby tylko jemu a nie komu innemu chciał udzielić tej informacji — w bramie czeka komisarz w towarzystwie kilku żołnierzy policyjnych. Są to niegrzeczni ludzie, którzy często nie pozwalają człeku pożegnać się wtenczas, gdy mu najbardziej pilno do domu. Otóż panie Adamie, chciałeś pan zasięgnąć mojej rady, jako prawnika, przyjaciela i towarzysza broni, w sprawie owego wekslu. Na to odpowiedziałem panu, że przyjaciel nasz wspólny, p. Tadeusz Zamecki, posiada w bankach tutejszych tak znaczne kapitały, nie obciążone żadnemi należytościami, że śmiesznością byłoby z jego strony pożyczać pieniądze na wysoki procent. Ergo, jeżeli istnieje weksel z jego podpisem, weksel ten musi być i jest, sfałszowanym. Radzę fałszerzowi, ażeby zaniechał swego zamiaru, bo dostanie się do kryminału. Radzę ludziom, którzy wnoszą niepokój w uczciwe rodziny i którzy znieważają kobiety, ażeby ponumerowali swoje kości, a to w celu tem łatwiejszego ich pozbierania, gdy będą połamane. A teraz, panie Adamie, chciejcie pożyczyć mi swojej laseczki!

P. Karol podczas ostatnich słów swoich poszedł był do okna, otworzył je był szeroko i pozdejmował doniczki z kwiatami, które na niem stały, lokując je na komodzie znajdującej się opodal. Uskuteczniwszy to, wziął z rąk zdumionego p. Tetrzyckiego jego „laseczkę“ i zbliżył się rezolutnie do p. Alfreda.

— Mój panie! — wołał ten ostatni, tu zaszło jakieś nieporozumienie! Pozwól mi pan wytłumaczyć się... sprowadziłeś pan policję...

— Nie, policji jeszcze nie ma, ale nie ma także i wyjścia innego, jak tylko przez okno! Za okno, łotrze!

Są chwile w życiu najdzielniejszych bohaterów, w których jedynem możliwem męztwem jest męztwo szybkiej decyzji, chociażby decyzja ta prowadziła do odwrotu przez okno. Tego rodzaju chwila zaskoczyła obecnie p. Alfreda. Zrozumiał ją i poszedł od razu za jej impulsem. Okno było otwarte i znajdowało się na dole, tylko z powodu niedzieli, większa niż zwykle liczba sług znajdowała się na podwórzu i w bramie, a ponieważ p. Skryptowicz rozkrzyczał się był mocno pod koniec rozmowy, z której zdałem sprawę, więc oczy tej, paradyzowej wszelako publiczności, zwrócone były w tę stronę, i widziały z niemałem zdumieniem, jak „jakiś pan“ wyskoczył przez okno, i nie oglądając się po za siebie pędem wyleciał na ulicę...

Berger nie miał przynajmniej świadków swojego pogromu!

— To jest ów Zgorzelski, który wam chciał sprzedać weksel, panie Adamie — rzekł p. Skryptowicz, spokojnie dokonawszy swojego dzieła. — Teraz, proszę was jeszcze o jedno. Jeżeli macie cokolwiek przyjaźni dla mnie i dla Tadeusza, nie wspominajcie ani jemu, ani nikomu w świecie o całej tej sprawie, póki was nie wezwę. Chodzi tu o jego spokój, mam nadzieję, że uda mi się ochronić go od szkody, nie wyrządzając mu większej przykrości nad wszelkie straty pieniężne, a taką przykrością byłoby, gdyby się dowiedział o tem, co zaszło. Czy dajecie słowo?

— Daję! Ale jak mi Bóg miły, czemuście tego gagatka nie poczęstowali przynajmniej porządnie moją towarzyszką podróży, albo czemuście mi przedtem nie powiedzieli, co to za panicz.

— Nie chciałem korzystać z przewagi, jakiej mi użyczała tak potężna rezerwa, a i bez tego, napędziłem mu okropnego Piotra. Ręczę, że ogląda się na wszystkie strony, czy go policja nie chwyta za kołnierz.

Po odejściu p. Tetrzyckiego, który mieszkał daleko za miastem, a z zasady pogardzał dorożkami i fjakrami i musiał tembardziej spieszyć się do domu, p. Skryptowicz zawiadomił rodzinę, iż nazajutrz rano wyjeżdża na wieś. Wiadomość o niezwykłych warunkach, wśród których p. Zgorzelski dostał się był na podwórze i na ulicę, rozeszła się już była w całej kamienicy. Pani Skryptowiczowa dziękowała niebiosom, że się na tem skończyło, córki jej utrzymywały, że ojciec jest okropnym gorączką, i że bądź co bądź, można było „tego pana“ w delikatniejszy sposób nauczyć rozumu. Jedna tylko Helenka zadziwiła wszystkich oświadczając nagle z wielką namiętnością, że „temu panu“ należała się jeszcze lepsza lekcja i że ona gdyby mogła, byłaby go zabiła. Właściwego przebiegu i powodu rozprawy z p. Zgorzelskim nie znał nikt, oprócz p. Karola i p. Tetrzyckiego.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XVI.

(Ciąg dalszy).

(Kwestja mieszkania przychodzi znowu na stół. — Fantastyczne projekta Pencroffa. — Wycieczka do północnych brzegy w jeziora. — Północna krawędź Wielkiej Terasy. — Węże. — Brzegi jeziora. — Niepokój Topa. — Top wskakuje do wody. — Walka podwodna. — „Dugong.“) —

Był to właśnie 6. maja który to dzień na półkuli północnej odpowiada 6. listopadowi. Niebo od kilku dni było zachmurzone, należało więc pomyśleć o sposobie przezimowania. Wprawdzie temperatura nie obniżyła się była jeszcze bardzo znacznie, a ciepłomierz Celsjusza przeniesiony na wyspę Lincolna byłby wskazywał między dziesięcioma a dwunastoma stopniami powyżej zera.

Wysokość tej średnicy nie powinna dziwić nikogo, ponieważ wyspa Lincolna położona prawdopodobne między trzydziestym piątym a czterdziestym równoleżnikiem, powinna była pod względem klimatycznym zajmować na półkuli południowej to samo stanowisko, co Sycylja lub Grecja na półkuli północnej. Lecz podobnie jak Grecja lub Sycylja wystawione są na przenikliwe zimno, które sprowadza nieraz śnieg i mróz, tak samo i na wyspie Lincolna nie można było wątpić, że w czasach najostrzejszej zimy obniży się nieco temperatura, przeciw czemu trzeba się było z góry zaopatrzyć.

Na wszelki wypadek jeśli nie groziły jeszcze mrozy, to niedaleką była pora deszczowa, a na tej wyspie odludnej, wystawionej na słoty i burze, wśród rozhukanego Oceanu, burze musiały być częste i straszne.

Należało więc na serjo rozważyć i rozstrzygnąć niezwłocznie kwestję wyśledzenia mieszkania odpowiedniejszego od „dymników.“

Pencroff miał oczywiście pewną słabość dla

mieszkania, które sam wyszukał, mimo to jednak zgadzał się na to, że trzeba było wynaleźć inne. I tak już raz morze nawidziło było „dymniki,“ jak to sobie przypomnimy z poprzedniego opowiadania, nie podobna więc było narażać się na powtórny taki wypadek.

— A wreszcie, dodał Cyrus Smith, który tego dnia rozprawiał o tem ze swoimi towarzyszami, trzeba nam przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— A to czemu? zagadnął korespondent, wszak wyspa nie jest zamieszkałą.

— Być może, odparł inżynier, nie zwidziliśmy jednak jeszcze jej części środkowej. Lecz chociażbyśmy nawet nie napotkali ludzi, lękałbym się dzikich zwierząt. Musimy więc ubezpieczyć się przed ich możliwą napaścią, inaczej co noc musiałby jeden z nas czuwać przy rozpalonem ognisku. A wreszcie, przyjaciele moi, trzeba nam wszystko przewidzieć. Znajdujemy się w tej części Cichego Oceanu, którą nawiedzają często rozbójnicy malajscy.

— Jakto, odezwał się Harbert, w takiem oddaleniu od wszelkiego kawałka ziemi?

— Tak jest, moje dziecię, odparł inżynier. Rozbójnicy ci są równie śmiałymi marynarzami jak niebezpiecznymi złoczyńcami, musimy się zatem mieć przed nimi na baczności.

— Dobrze więc odparł Pencroff, obwarujemy się tu przed dzikimi jak borsuki w jamach. Lecz czy nie byłoby dobrze, panie Cyrus, zejść wprzód całą wyspę, zanim poweźmiemy jakieś postanowienie?

— Toby było lepiej, dodał Gedeon Spilett. Kto wie czy na przeciwległem wybrzeżu nie znajdziemy takiej jaskini, z której daremnie szukaliśmy tutaj?

— To prawda, odrzekł inżynier, lecz nie zapominajcie o tem, przyjaciele moi, że musimy zamieszkać koniecznie w pobliżu wody słodkiej, i że patrząc z góry Franklina, nie dostrzegliśmy na zachodzie żadnego strumienia ani rzeki. Tu przeciwnie mamy po jednej stronie Dziękczynną a po drugiej jezioro Granta, jest to korzyść wielka, której nie należy lekceważyć. A przytem, wybrzeże to położone na wschód, mniej od tamtego wystawione jest na pojedyncze wichry północno-zachodnie panujące na tej półkuli.

— A zatem, mości Cyrus, odezwał się marynarz, wybudujemy dom nad brzegiem jeziora. Wszak nie brak nam teraz ani cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarzami, garncarzami, giserami, kowalami, to u licha potrafimy także zostać murarzami!

— Zapewne, mój przyjacielu, lecz zanim się na to zdecydujemy, trzeba wprzód szukać. Mieszkanie, któregoby nam udzieliła darmo sama przyroda, oszczędziłoby nam nie mało trudów i użyczyłoby nam niezawodnie daleko bezpieczniejszego schronienia, gdyż chroniłoby nas równie skutecznie przed wewnętrznymi nieprzyjaciołmi jak i przed zewnętrznymi.

— Bez wątpienia, Cyrusie, odparł korespondent, lecz wszakże przeszukaliśmy już najstaranniej wszystkie kolosy granitowe tego wybrzeża, i nie znaleźliśmy nigdzie ani dziury żadnej, ani nawet szczeliny.

— Ani jednej! dodał Pencroff. A gdybyśmy też wyżłobili sobie mieszkanie w tej ścianie granitowej, na pewnej wysokości, tak by niebyło doń z nikąd przystępu; o, to by było wyśmienicie! Ja to już ztąd widzę tam, w tej facjacie od strony morza, pięć lub sześć pokojów.

— Z oknami, któreby je oświetlały! zawołał śmiejąc się Harbert.

— I ze schodami, któremi by się do nichwłaziło! dodał Nab.

— Śmiejcie się, zawołał marynarz, i czego? Czy projekt mój mieści w sobie co niemożliwego? Albożnie mamy kilofów i motyk? Albo pan Cyrus nie potrafi sfabrykować nam prochu, którym porozsadzamy te skały? Prawda, Panie Cyrus, że sfabrykujesz pan proch, jeśli nam go będzie potrzeba?

Cyrus Smith przysłuchiwał się tym fantastycznym nieco projektom entuzjasty Pencroffa. Rozsadzić te masy granitowe nawet za pomocą min prochowych, było pracą prawdziwie herkulesową i zaiste należało ubolewać, że przyroda sama nie uskuteczniła bodaj najuciążliwszej jej części. Inżynier jednak za całą odpowiedź na zapytanie marynarza, zaproponował tylko, ażeby dokładniej jeszcze zbadać ścianę granitową, począwszy od ujścia rzeki aż do jej północnego krawędzia.

Przedsięwzięto więc ściśle poszukiwania na długość blisko dwóch mil. Lecz zbita wszędzie i gładka ściana nie przedstawiała nigdzie najmniejszego wydrążenia. Co się tyczy gniazd skalnych gołębi okrążających jej szczyt, to były to poprostu dziury wyżłobione na samym jej szczycie i wyszarpane z krawędzi.

Przykra, była to zaiste okoliczność, a o tem, by bądź to zapomocą kilofa, bądź też min prochowych, spowodować w tej masie granitowej dostateczne wydrążenie, i myśleć nie można było. Przypadek tylko zdarzył, że Pencroff wynalazł właśnie jedyne w całej tej części wybrzeża miejsce, mogące nastręczyć chwilowe schronienie, a miejscem tem były „dymniki,“ które teraz trzeba było porzucić.

Ukończywszy swe poszukiwania, znaleźli się osadnicy nasi u północnej krawędzi ściany granitowej, gdzie takowa przechodziła w podłużną spadzistość, ginącą zwolna wśród piaszczystego wybrzeża. Począwszy od tego miejsca aż do ostatecznej zachodniej kończyny, ściana ta zmieniała się w rodzaj szańca utworzonego z nagromadzonych stosów kamieni, ziemi i piasku, przeplatanego tu i owdzie krzewami, drzewkami i zaroślami, którego pochyłość wynosiła tylko czterdzieści pięć stopni. Miejscami przebijały jeszcze z tego rodzaju kurtyny ostre zęby granitu. Grupy drzew wznosiły się na stokach pokrytych dość gęstym kobiercem z zarośli. Lecz tu kończyła się wszelka roślinność i od podnóża szańca wlokła się długa piaszczysta równina aż do samego wybrzeża.

Cyrus Smith sądził nie bez podstawy, że z tej strony właśnie powinien się znajdować upust wody z jeziora, w kształcie kaskady. W istocie nadmiar wody nadpływającej ustawicznie z Czerwonego Potoku musiał koniecznie którędyś wyciekać. Owóż odpływu tego nie mógł znaleźć inżynier na żadnym ze zwidzanych już brzegów, to jest począwszy od ujścia potoku, na zachód aż do Wielkiej Terasy.

Inżynier zaproponował zatem towarzyszom swoim wdrapać się na szczyt tego szańca, któremu się właśnie przypatrywali i wrócić po jego grzbiecie do „dymników“, zwidziwszy po drodze północne i wschodnie brzegi jeziora.

Propozycja ta została jednomyślnie przyjętą i w kilka minut później Harbert z Nabem stanęli na szczycie szańca, a za nimi poważnym krokiem zdążali Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff.

O dwieście kroków ztamtąd, przez gałęzie drzew połyskiwała w słonecznych promieniach wspaniała szyba wodna. Krajobraz w tem miejscu był cudowny. Drzewa z żółtawą nieco barwą liści, w czarownych porozstawiane grupach zachwycały oko. Tu i owdzie pnie sędziwych drzew powalonych pod ciosami wieków, odbijały swą korą czarniawą od świeżej zieloności. Tam rozlegał się świergot hałaśliwych kakatoisów, które jak żyjące iskierki pryzmatyczne skakały z gałęzi na gałąź. Rzekłbyś, że to promień słońca przedzierający się przez tkaninę gałęzi, rozprysnął się w barwy tęczowe.

Osadnicy nasi, zamiast udać się wprost ku północnym brzegom jeziora obchodzili kołem po wierzchołkach szańca, tak, ażeby dostać się lewym brzegiem Czerwonego Potoku do jego ujścia. Tym sposobem okrążali koło wynoszące najwyżej półtora mili. Droga była łatwa, drzewa bowiem porozrzucane z rzadka pozostawiały dość wolnego przejścia. Widocznie tu kończyła się strefa urodzajna a roślinność była tu mniej obfitą niżeli w całym paśmie kraju położonem między Czerwonym Potokiem a Dziękczynną.

Cyrus Smith i jego towarzysze postępowali ostrożnie po tej nieznanej sobie ziemi. Łuki, strzały i kije okute w żelazo stanowiły całe ich uzbrojenie. Nie spotkali jednak żadnego zwierza, snać wszystka zwierzyna kryła się po gęstych lasach rozpościerających się na południe. Niemiłą jednak wcale było dla nich niespodzianką, gdy ujrzeli nagle Topa, stojącego nad potężnym wężem, mającym czternaście do piętnastu stóp długości. Nab jednym uderzeniem kija zabił go na miejscu. Cyrus Smith oglądnął tę gadzinę i oświadczył, że nie jest jadowitą i że należy do rodzaju t. z. „djamantników“, którémi żywią się dzicy w Nowej Galji na południu. Łatwo jednak można było napotkać inne gady, których ukąszenie jest śmiertelne, naprzykład salamandry z rosochatemi ogonami, które zwijają się niespodzianie kłębem z po pod nóg, lub owe węże skrzydlate z dwoma rożkami nadającemi im rączość niepospolitą. Top, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, rozpoczął walkę z gadami z zaciekłością wzbudzającą uzasadnione o niego obawy. Pan jego przywoływał go nieustannie.

Niebawem dotarli do ujścia Czerwonego Potoku, w miejscu, gdzie tenże wpadał do jeziora. Na przeciwległym brzegu poznali osadnicy nasi okolicę, którą już byli zwidzili, spuściwszy się z góry Franklina. Cyrus Smith przekonał się, że przypływ wody był dość znaczny, nie podlegało zatem wątpliwości, że przyroda musiała pozostawić gdzieś także upust, którym uchodził nadmiar wody z jeziora. A właśnie chodziło o to, ażeby odszukać ten upust, musiał on niezawodnie tworzyć silny spad, którego siłę mechaniczną można by było spożytkować.

Osadnicy nasi idąc wolno lecz nie oddalając się zbytecznie jeden od drugiego, poczęli okrążać do koła brzeg jeziora, który był nader urwisty. Jezioro zdawało się napełnione rybami, a Pencroff przedsięwziął sobie sporządzić kilka wędek, ażeby je módz łowić dowoli.

Przedewszystkiem trzeba było obejść ową ostrą krawędź w północno-wschodniej stronie. Słusznie bowiem można było przypuszczać w owem miejscu znajdował się odpływ, gdyż powierzchnia jeziora sięgała tu prawie aż do samego brzegu. Oczekiwania jednak zawiodły, i osa-

dnicy nasi podążyli dalej brzegiem jeziora, który po lekkim zakręcie ciągnął się równolegle z wybrzeżem.

Z tej strony brzegi jeziora były mniej lesiste, lecz porozrzucane tu i owdzie grupy drzew dodawały krajobrazowi malowniczości. Jezioro Granta ukazywało się ztąd w całej swojej rozciągłości a żaden podmuch wiatru nie kłócił gładkiego zwierciadła wody. Top nurtując między krzakami spłoszył gromady rozmaitego ptactwa, a Gedeon Spilett i Harbert przywitali je strzałami. Jeden z tych ptaków raniony celnym strzałem Harberta spadł w bagniste zarośla. Top rzucił się w tę stronę i przyniósł po chwili pięknego ptaka z rodzaju pływaków, popielatej barwy, z krótkim dziobem i silnie rozwiniętą przednią czaszką, z łapkami rozszerzonemi festonową obwódką i skrzydłami obwiedzionemi białym szlakiem. Była to „łyska“, wielkości dużej kuropatwy; ptak ten należy do rzędu „makrodaktylów“ stanowiącego rodzaj przejściowy miedzy ptakami czaplowatemi a płetwonogiemi. Zwierzyna to licha i smak jej wiele pozostawia do życzenia. Top jednak był niezawodnie mniej wybrednym od swoich panów, postanowiono więc uraczyć go tą łyską na wieczerzę.

Wtedy osadnicy nasi zwrócili się ku wschodnim brzegom jeziora i mieli niebawem dotrzeć do znanych sobie okolic. Inżynier mocno był zdziwiony, nie spotkawszy nigdzie żadnej oznaki zdradzającej odpływ wody z jeziora. Korespondent i marynarz rozprawiali z nim o tem, a on bynajmniej nie ukrywał przed nimi swego zdziwienia.

W tej chwili Top, dotąd całkiem spokojny, począł okazywać jakieś zaniepokojenie. Rozumne to zwierzę biegało tam i sam wzdłuż brzegu, nagle stanęło i wlepiło wzrok w powierzchnię wody, podniósłszy jedną łapę do góry, jak gdyby wietrzyło jaką niewidzialną zwierzynę, poczem zaczął szczekać zapalczywie, jak gdyby był na tropie zwierza, i nagle umilkł.

Zrazu ani Cyrus Smith ani towarzysze jego nie zważali na to postępowanie psa, lecz w końcu to coraz zacieklejsze ujadanie zwróciło baczność inżyniera.

— Co Topowi takiego? zapytał.

Pies zwrócił się kilkoma susami ku swojemu panu, zdradzając widoczne zaniepokojenie, lecz wnet popędził znów nad brzeg jeziora. Nagle rzucił się do wody.

— Sa-tu Top! zawołał Cyrus Smith, obawiając się puszczać psa na te podejrzane wody.

— Co się tam dzieje pod wodą? zapytał Pencroff patrząc na powierzchnię jeziora.

— Top zwietrzył zapewne jakiegoś płaza, odparł Harbert.

— A niezawodnie alligatora, rzekł korespondent.

— Jabym tego nie sądził, odparł Cyrus Smith. Alligator znajduje się tylko w krajach położonych pod niższym od naszego stopniem szerokości geograficznej.

Top tymczasem zawrócił na głos swojego pana i wylazł na brzeg; lecz żadną miarą nie mógł się uspokoić. Skakał pomiędzy wysokie zarośla i wiedziony instynktem zdawał sie gonić za jakiemś niewidzialnem stworzeniem płynącem pod wodą wzdłuż brzegów jeziora. Powierzchnia wody jednak była całkiem gładką, bez żadnego zmarszczka. Kilkakrotnie osadnicy zatrzymywali się nad brzegiem, przypatrując się bacznie wodzie. Lecz nie widzieli nic zgoła. W tem była jakaś tajemnica.

Inżynier był mocno zaciekawiony.

— Dokończmy naszego poszukiwania, rzekł do swoich kolegów.

W pół godziny później przybyli do południowo-wschodniego krańca jeziora i znaleźli się znowu na Wielkiej Terasie. Tym sposobem zwidzili dokoła brzegi jeziora, a jednak inżynier nie mógł w żaden sposób odkryć którędy i jakim sposobem dokonywał się upust wody z jeziora.

— A jednak upust ten musi się gdzieś znajdować, powtarzał inżynier, a ponieważ nie widać go z zewnątrz, musi być zatem wydrążonym z wewnątrz w granitowej ścianie nadbrzeża.

— Czyż przywiązujesz do tej okoliczności tak wielką wagę, kochany Cyrusie? zapytał Gedeon Spilett.

— Dość wielką — odparł inżynier — w razie bowiem, jeśli woda przewierciła sobie odpływ na wskróś granitowej skały, łatwo być może, że istnieje w tem miejscu jakie wydrążenię, które możnaby zużytkować na mieszkanie, odwróciwszy w inną stronę bieg wody,

— Lecz czy nie byłoby także możebnem, panie Cyrus — odezwał się Harbert — ażeby woda odpływała dnem jeziora przez jaką czeluść podziemną do morza?

— W samej rzeczy mogłoby to być — odparł inżynier — a w takim razie musielibyśmy sami budować dom, gdyby natura odmówiła nam wszelkiego w tej mierze współdziałania.

Osadnicy nasi gotowali się już przejść wzdłuż Wielką Terasę, ażeby dostać się do „dymników,“ gdyż była już godzina piąta z wieczora, gdy nagle Top począł się znowu niepokoić. Szczekał zajadle, i zanim pan jego mógł go zatrzymać, wskoczył po raz drugi do jeziora.

Wszyscy pobiegli do brzegu. Pies odpłynął już był tymczasem na jakie dwadzieścia stóp i Cyrus wołał na niego niecierpliwie, gdy nagle olbrzymi łeb wynurzył się z wody, która w tem miejscu nie zdawała się zbyt głęboką.

Harbert poznał od razu rodzaj amfibji, do którego należał ten łeb stożkowy z dużemi ślepiami, opatrzony z obu stron długiemi gęstemi wąsami.

— To „lamantyn“ — zawołał.

Nie był to „lamantyn,“ lecz jeden z gatunków tej klasy należącej do rodzaju wielorybów, przezwany „dugongiem,“ gdyż nozdrza jego wystają powyżej pyska.

Olbrzym ten rzucił się na psa, który napróżno usiłował uciec przed nim na brzeg. Pan jego nie mógł mu w niczem dopomódz i zanim przyszło na myśl Spilettowi lub Harbertowi chwycić za łuki, już Top pochwycony przez „dugonga“ zniknął pod wodą.

Nab ze swą okutą maczugą chciał się rzucić na ratunek psu, gotów ścigać potwora w jego własnym żywiole.

— Daj pokój, Nab — rzekł inżynier wstrzymując śmiałka.

Tymczasem pod wodą toczyła się walka, walka niepojęta, gdyż w tych warunkach Top nie mógł żadną miarą stawiać oporu. Walka ta musiała być straszliwą, widać to było po spienionej powierzchni wody, a nie mogła zakończyć się inaczej, jak tylko śmiercią psa! Gdy wtem wśród spienionych fal pojawił się Top. Wyrzucony na wierzch jakąś siłą niewidomą wyleciał jakie dziesięć stóp ponad powierzchnię wody, wpadł w nią napowrót i wkrótce przybił do brzegu, bez żadnego ciężkiego uszkodzenia, ocalony prawdziwie cudem.

Cyrus Smith i towarzysze jego patrzali zdumieni nie pojmując przyczyny tego wszystkiego. Walka zdawała się wciąż jeszcze trwać pod wodą. Zapewne „dugong“ napadnięty przez innego olbrzyma wypuścił psa ze swych szponów, walczył teraz o własną skórę.

Nie długo to jednak trwało. Woda zarumieniła się krwią, a zwłoki „dugonga“ wypłynąwszy na wierzch wśród szkarłatnej powodzi rozpościerającej się kręgami do koła, zatrzymały się na małej mieliźnie u południowego krańca jeziora.

Osadnicy nasi pobiegli w to miejsce. „Dugong“ już nie żył. Był to zwierz olbrzymi, piętnaście do szesnastu stóp długi i musiał ważyć od trzech do czterech tysięcy funtów. Na karku miał szeroką ranę zadaną jak gdyby ostrzem topora.

Co to mógł być za potwór, który tak strasznym ciosem powalił potężnego „dugonga?“ Nikt tego nie mógł odgadnąć i dość zaciekawieni tem całem zdarzeniem Cyrus Smith z towarzyszami swoimi powrócili do „dymników.“

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXVI.

W Poniedziałek odbyła się we Lwowie uroczystość żałobna, która przejmowała do głębi rzewną prostotą swoją. Kilkatysięcy osób, należących do klas wykształconych, udało się do gmachu po-pijarskiego, zawierającego krajowy szpital powszechny. Zakończył tam był życie śp. jenerał Śmiechowski, weteran z wszystkich bojów, jakie toczyła Polska w ciągu tego stulecia. Troskliwa opieka i starania lekarzy nie zdołały przedłużyć nici przeszło ośmdziesięcioletniego, trudami skołatanego żywota. Należała mu się ostatnia usługa jakiej sobie życzył — wyraził się bowiem przed śmiercią, że pragnie, aby go „uczciwie pochowano“. Woli tej jego stało się zadość w sposób najwłaściwszy. Nie było wprawdzie widać w orszaku pogrzebnym tego, co mogą dać pieniądze, ród wysoki, lub stanowisko urzędowe jako hołd pamięci nieboszczyka. Nie było cugów, ani pobożnych bractw sprowadzonych za tyle a tyle od sztuki światła, ani pańskich ekwipażów, ani żadnego fałszywego blichtru. Ale zgromadziło się dobrowolnie w długim szeregu zacne duchowieństwo, ale wystąpił tłum, imponujący liczbą, ale swoi na barkach nieśli zwłoki starego żołnierza do grobu. Z gwieździstego przestworza, gdzie nikną szranki czasu i przestrzeni, duch zmarłego patrzał w tysiące serc ożywionych jednem smętnem a pięknem uczuciem, i radował się widokiem tak znacznej jeszcze garstki pamiętnej zasług położonych w krwawym znoju....

Przy tej sposobności, niechaj mi wolno będzie zrobić jedną uwagę. Czytam w wykazach statystycznych, że we Lwowie znajduje się uniwersytet i akademja techniczna. Wakacyj jeszcze nie ma, a o siódmej w wieczór, o której odbywał się pogrzeb, kolegjów także nie ma. Albo więc obadwa te zakłady naukowe mają zaledwie kilkunastu słuchaczów, bo tylu szło za trumną — albo chyba reszta słuchaczów składa się z młodzieży nie przyznającej się do tego, że jest polską! Ina-

czej nie umiem sobie wytłumaczyć tego braku udziału ze strony akademików w obrzędzie, w którym jak wszędzie, młodzież akademicka przodować powinna. Gdyby nie rzemieślnicy, a mianowicie, poczciwa Gwiazda, można by powiedzieć, że teraz jeszcze tylko starzy są młodymi.

* * *

Inaczej bywało przed niedawnemi jeszcze laty, nim wyginęła w lasach rdzenna garstka, któraby może nie była dała zaginąć tradycjom polskiej, akademickiej młodzieży. Lata 1863—1864 pod tym względem wywarły wpływ fatalny. Wyludniając kolegja, wywołały one przerwę w owych tradycjach, taką, że po pokoleniu gorącem i dzielnem wyrosło oto jakieś ślimacze, martwe, niezdarne. Zszedłszy świat wzdłuż i wszerz, i przypatrzywszy się wszędzie młodzieży w zakładach naukowych, nie znalazłbyś nigdzie tyle obojętnego, spróchniałego żywiołu, co we Lwowie. Nie jest to jednak winą tych, na których spada ten zarzut — całem nieszczęściem jest podobnoś to, że nie ma już dzisiaj nikogo, coby umiał do młodych serc przemawiać, zagrzać je i podnieść. Jedni dają im za pokarm politykę bezduszną, drudzy naukę nadymającą się po pawiemu, i często jeszcze nawet od polityki galicyjskiej, mniej mającą treści i prawdy w sobie. Ciepła tylko nikt nie daje. Dawniej w ślad za pałającymi ogniem wieszczami, młodzież kleiła rymy — nieraz liche — ale zapalała się, rwała się do czynu. Dzisiaj w ślad za nadętymi mędrcami, politykuje i krytykuje zawsze licho, a zapałem nie unosi się nigdy. Coby na to powiedział taki Mieczysław Romanowski, gdyby wstał z grobu?

On z pewnością umiałby przemówić, i wykrzesać iskrę życia z tych pozornych głazów. Dla tego też nie godziłoby się przynajmniej marnować jego duchowej spuścizny, jak to się dzieje. Słyszałem, że prof. Kuliczkowski poczynił kroki w tym kierunku, ale dawniej jeszcze p. Mieczysław Pawlikowski podjął się przejrzenia i zestawienia materjału, i jakoś nie donoszą, co się dzieje z tą pracą. Kończy się na tem, że nikt nie może przystąpić do wydawnictwa, bo już przed nim ktoś inny myśl tę poruszył, ale jej nie wykonał. Niechaj ta wzmianka posłuży za interpelację publiczną w sprawie zasługującej na raźniejsze nieco branie się do rzeczy.

W innej podobnej kwestji, którą poruszyłem przeszłego tygodnia, miło mi powtórzyć pocieszającą wiadomość, otrzymaną z ust kompetentnych. Dzieła Adama Pajgerta mianowicie, wyjdą z końcem br. Wydawnictwo spóźniło się w skutek trudności, jakie miał p. Kornel Ujejski z uporządkowaniem pozostałych manuskryptów, jakoteż z powodu, iż śp. Pajgert przeznaczył na koszta nakładu dotację płynącą w ratach rocznych, potrzeba było tedy czekać, aż się uzbiera fundusz wystarczający. Tak to powoli i powoli buduje się piękny gmach naszego piśmiennictwa, do którego lata ostatnie pod względem wydawnictw zbiorowych dały nie jeden przyczynek nieoceniony. Dość wspomnieć o wydaniu pism W. Pola.

* * *

W dosłownem, a nie przenośnem znaczeniu budowanie gmachów idzie zwłaszcza u nas we Lwowie dawnym, fatalnym trybem. Niech tylko kto postawi kamienicę od biedy prezentującą się lepiej niż np. pomnikowe rudera naprzeciw kasyna mieszczańskiego — a za parę lat zeszpeci ją niezawodnie jakimś przyczynkiem. Ze zgrozą spostrzeżono temi dniami, że na kamienicy tworzącej róg ulic: Majerowskiej i Kościuszkowskiej, stawiają nagle coś niby dzwonnicę w kształcie pikelhauby pruskiej. Niektórzy twierdzą, że gmach ten przeznaczony jest na świątynię „koszernoteutońską“ i że sam Bismark zjedzie do Lwowa na konsekrację, jeżeli mu gmina tutejsza da rękojmię, że przy tej sposobności będzie wykonanym na jego osobę jaki taki zamach, którymby się mógł pochwalić przed żoną i przed dziećmi. Pogłoska ta zdaje mi się nie bardzo wiarygodną — ale że pikelhauba, o której mówię, jest na ukończeniu, o tem przekonać się może każdy, kto ma oczy. Wobec tych i tympodobnych grzechów przeciw wszelkiej linji architektonicznej, i wobec opłakanych okazów budownictwa, jakiemi szczyci się nasze miasto, nie zostaje nam nic, jak tylko zwrócić błagalne spojrzenie na wysoki Wydział sejmowy i zaklinać go, by on sam przynajmniej zabierając się do budowy swojego gmachu, starał się połączyć utile dulci, tj. by zwrócił baczność na zewnętrzną formę budynku i poruczył jego wykonanie przedsiębiorcy lub budowniczemu nietylko z uwzględnieniem finansowej, ale także i artystycznej strony tego zadania. Na tem gorącem westchnieniu kończę w nadziei, iż nie będzie ono wysłuchanem aż do przesady, tj. iż naprzeciw blaszanej pikelhauby p. Tennera nie stanie jaka blaszana rogatywka — cudna rzecz na głowie, ale mniej powabna na dachu.

Jan Lam.

STANOWISKO FILOZOFJI

KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

Dr. A. Molicki.

Chociaż historja filozofji w Polsce świadczy, że nie zawsze szliśmy równo z rozwojem myśli filozoficznej w Europie — to jednakże w ciągu bieżącego stulecia, a szczególniej czterech ostatnich dziesiątek lat, nie tylko żeśmy się zapoznali z tem, czego nam niedostawało, ale nadto przetrawiliśmy to wszystko co zdobyli obcy, starając się samym odtąd samodzielnie rozwijać. Winniśmy to szczególniej znanym u nas powszechnie myślicielom, z pomiędzy których wybitne stanowisko zajmuje dr. Karol Libelt (ur. 1807 r. umarł w 1875 r.), o którym mi pisać przychodzi*).

Ogromna działalność tego męża wiąże go z całym procesem rozwoju u nas pojęć filozoficznych. Występuje on nie tylko jako specjalista filozof, ale zarazem jako uczony, matematyk, estetyk, krytyk, literat, ekonomista, starając się na każdem polu rozwijać światło prawdziwej nauki.

Odpowiednio do mego założenia, zajmę się tylko pojęciami filozoficznemi Libelta, zostawiając inne jego dzieła fachowo wykształconym.

Wobec prac dokonanych nad historją filozofji w Polsce, chociaż ich nie jest wiele, zadanie piszącego „o stanowisku filozofji K. Libelta i stosunku jego do innych spółczesnych filozofów polskich“ nie jest zbyt łatwem. Temat taki bowiem stawia go w konieczności uwzględnienia całej nowszej filozofji w Polsce, ze szczególnym względem odniesienia jej do filozofji K. Libelta. Prace zaś historyczne Fr. Krupińskiego**) i dra. H. Struve***) rozbierają po szczególe nie tylko stanowisko każdego z nowszych filozofów, ale nadto dają i ogólną charakterystykę tej filozofji. Pozostaje więc do wyboru: albo lepiej wyjaśnić te ogólne pojęcia, które oni poruszyli, albo zająć się więcej przedmiotowym wykładem pism Libelta i powtórzyć w innej formie znaną już krytykę, na którą niepodobna choć w części się nie zgodzić. Ostatnie, uważam, nie na wieleby się przydało: już to dla tego, że na pracy takiej nikt poprzestać nie może, chcąc poznać dokładnie samego autora, ale musi się udać do źródła — już to dla tego, że dostatecznie rozwinęli to już p. Krupiński i Struve, a większe rozwodzenie się bynajmniej też filozofji Libelta poznaćby lepiej nie dało — już wreszcie, że praca taka nie miałaby żadnego prawdziwie naukowego interesu.

Mając zaś na uwadze, aby praca niniejsza mogła być zarazem jakimś przyczynkiem do historji filozofji w Polsce, postanowiłem rozjaśnić te pojęcia, które są słabo zarysowane w charakterystyce nowszej filozofji u Krupińskiego, których Struve wcale nie porusza, uwzględniając tylko pojęcia odnoszące się do teorji poznania — a które przecież stanowią główną różnicę między naszymi a niemieckimi filozofami, i rdzeń tego, około czego rozwinęła się u nas filozofja. Inaczej mówiąc, chciałbym czytelnikowi narysować obraz nowszej u nas filozofji, i to narysować go żywo, około wyniosłej postaci K. Libelta. Chciałbym, aby praca niniejsza mogła przedstawić to życie, które tętniło od piątej dziesiątki naszego stulecia, które dzisiaj tylko starsi pamiętają, a do poznania którego młodzi tylko po długiem czytaniu dojść mogą. Chciałbym więc im ułatwić poznanie tego obrazu z naszej historji filozofji, a żywem jego narysowaniem zachęcić do samodzielnych studjów wielkiego bogactwa jej treści.

Rozwinięcie takiego obrazu da nam, o ile mi się zdaje, poznać dokładniej niż dotąd wzajemny stosunek nowszych filozofów polskich. Aby jednak w zupełności odpowiedzieć zadaniu, zajmę się w końcu krytycznem przedstawieniem stanowiska Libelta, co będzie z tem większą korzyścią, ileże uprzednie wyjaśnienie wzajemnego stosunku, ułatwi zrozumienie samego stanowiska jego filozofji.

Chcąc poznać stosunek nowszych filozofów polskich, nie można — uważam — rozbierać go na podstawie fundamentalnych pojęć ich systematów. Taki bowiem traktat dałby poznać tylko stosunek ich zasadniczych pierwiastków, ale nie stosunek ich całych, a głównych poglądów filozoficznych. Potrzeba więc zastanowić się nad temi pojęciami, które są im wspólne, które stanowią cel ich usiłowań, a które są głównym węzłem, wiążącym ich między sobą. Słowem, potrzeba rozważyć ich wspólne cechy, i to nie tylko by poznać ich istotę, lecz zarazem by poznać i wpływy, pod któremi powstały i utrwaliły się.

Aby więc uczynić temu zadosyć, nie można ograniczyć się tylko literaturą filozoficzną, lecz trzeba sięgnąć dalej i szukać ostatecznych przy-

*) Pomijam zupełnie bjografję autora; szczupłe bowiem ramy niniejszej rozprawy zniewalają mię do wypuszczenia rzeczy, o których można się dowiedzieć z każdej historji literatury.

**) Zobacz „Dodatek o filozofji w Polsce“ przy tłumaczeniu „Historji Filozofji“ Schweglera przez F. K. Warsz. 1863, str. 419 i nast.

***) Struve: „Wykład systematyczny logiki“ Warszawa 1870. T. I. str. 219 i nast.

czyn. Należy bowiem nam pamiętać o tem, że nowsza filozofja nasza zostawała pod wpływami nie tylko ściśle filozoficznemi, mianowicie filozofji niemieckiej, ale nadto ulegała i innym potężnym czynnikom, powstałym wśród dziejów kraju. Ograniczenie się zatem li na wpływach filozoficznych, jak to mamy w „Charakterystyce nowszej filozofji“ u Krupińskiego, przedstawia nam przedmiot niezrozumiałym, niejasnym, niedostatecznym, który czytając, czujemy jakiś brak i wewnętrzne niezadowolenie. Tak np. powiada Krupiński, gdy filozofowie nasi doścignęli myśl filozoficzną w jej najnowszym rozwoju i chcieli ją prześcignąć; gdy postrzegli słabe strony filozofji Hegla i niszczący wszystko krytycyzm lewicy Heglowskiej „należało, chcąc zasłużyć na imię rzeczywistego filozofa, obejrzeć się za nowym pierwiastkiem, a pragnąc wzbudzić interes między rodakami do filozofji, wypadało nadać jej koloryt miejscowy i zgodny z tradycjami i panującem wyznaniem religijnem. Ochrzczono tedy rodzącą się jutrznię mądrości mianem „słowiańskiej, polskiej, narodowej itd.*).“ Pomijam to, że filozofowie nasi nie pisali z pewnością pod wpływem takiej spekulacji, jak osądził p. Krupiński, ani też nie byli tak krótko widzący, aby umiejętności uniwersalnej z pobudek tak naiwnych nadawać koloryt miejscowy i narodowy. Ale choćby i tak, czyż to już może zaspokoić czytającego, który wie, że przecież o to toczyła się żywa polemika między tymi samymi filozofami, którym — jak przyznaje p. Krupiński — tak chodziło o rozszerzenie filozofji między rodakami? Zaiste, nie takie były pobudki przy nadawaniu powstającej filozofji miana słowiańskiej, polskiej, narodowej, choć istotnie jest to pierwszą cechą nowszej u nas filozofji.

W dalszym ciągu przedstawimy co do tego nasz pogląd. Tymczasem zobaczmy co jeszcze mówi p. Krupiński. „Oprócz szukania nowego pierwiastku i płynącej za nim nazwy narodowej, ma jeszcze filozofja u nas jedną spólną cechę, tj. obronę osobowości Boga i nieśmiertelności żywota, według religji chrześcijańskiej pojmowanych**).“ Istotnie jest to druga cecha, którąby religijną nazwać można.

Oprócz tego jest jeszcze jedno wspólne znamię w naszej filozofji, o którem już nie mówi p. Krupiński, bo ono u niektórych filozofów więcej utajone, lecz przecież nierównie ważne, bo wiążące ich w jeden zastęp badaczów rzeczywistości.

Teraz więc przystąpmy do rozwinięcia powyższych cech, na podstawie których dokładnie poznamy stosunek nowszych filozofów polskich między sobą. Co zaś do myślicieli najnowszych i ich stosunku do K. Libelta, o tem powiemy na końcu, bo to już inny perjod w naszej filozofji.

(C. d. n.)

*) Zobacz powyższy „Dodatek o filozofji w Polsce“ str. 420.

**) tamże str. 421.

Wystawa obrazów w Paryżu w r. 1875.

(Ciąg dalszy.)

Paryż d. 1. czerwca 1875 r.

8. *Bonnat*: Potret „Pani Pasca“ znamienitej tutejszej artystki dramatycznej. Kapitalne dzieło wystawy, największe zajęcie i największe a zasłużone wywołujące oklaski. Drugi to już raz, choć w różnych rodzajach malarstwa, pan Bonnat podobne odnosi tryumfy. W przeszłym roku Chrystus jego, przeznaczony do sądowej sali w handlowym trybunale, imię artysty w pierwszym postawił rzędzie. „Chrystus to był kommunistów!“ krzyczeli i krzyczą zawzięci artysty przeciwnicy, dla tego że więcej człowieczeństwa niż boskości miał w swem obliczu, i że wisiał na krzyżu nie z samym uśmiechem litości na uściech, jak to go inni przedstawiali i przedstawiają malarze, lecz także i ze strasznym wyrazem cielesnego bolu w zmiętych fałdach czoła i skroni. Każdemu wolno sądzić jak się podoba; jabym myślał jednakże, iż Chrystus taki cierpiący więcej niż tamten tylko litościwy, zasługuje na wdzięczne uwielbienie odkupionej ludzkości. Tegoroczny potret „Pani Pasca,“ według tychże samych (różnicę rodzajów ciągle mając na względzie) malowanym jest zasad. Przedstawił nam ją artysta taką, jaką mogą ją oglądać oczy całego świata, a nie rozmarzonego tylko kochanka, nie wyidealizowaną fizycznie, brzydszą może nawet niżli nią jest rzeczywiście. Ideału, bez którego jeden tylko Courbet obchodzi się dotąd śmiało — ideału szukał malarz raczej w moralnej stronie swego modelu. Upośledziwszy w nim poniekąd kobietę, podniósł artystkę. Patrząc na ten portret i nie wiedząc nawet kogo on przedstawia, możnaby się właściwej jego treści domyśleć. Wieje zeń dramatem nie klasycznym, nie w greckie lub rzymskie owiniętym draperje, lecz współczesnym, odegranym wczoraj lub dziś przed naszym okiem. Techniczna strona nie zostawia nic do życzenia. Modelunek mistrzowski. W białą odziana suknię, artystka żywcem rzekłbyś wychyla się z pozłacanego ram więzienia. Światło? Hm! Światło nie wszystkich zadowoliło recenzentów. Zacytowany już gdzieindziej Paul de Saint Victor, utrzymuje, że światło takie może spadać tylko w piwnicy przez małe w górze okienko. Zgoda, lecz malując artystkę dramatyczną, i uprzytomniając ten szczególniej modelu swego charakter, p. Bonnat nie chciał zapewne oświetlić go tak, jakby siedział w saloniku obróconym oknami na południe. To widzi nam się najprawdopodobniejsze tłumaczenie myśli malarza, zresztą nie wiemy.

9. *Bougereau*: „Najświętsza Panna z Chrystusem na ręku i św. Jan u jej kolan.“ Nikt panu Bougereau nie wykańczania tego co robi zarzucić nie może. Inną ostateczność zarzucić mu raczej wypada. Malowideł swoich nie maże on wielkim, jak inni pędzlem, lecz je raczej wylizuje małym pędzelkiem. Z dwojga złego mówiąc między nami, ja to wolę, lecz nie idzie zatem bym to stawiał za wzór malarstwu. Źle jest nie kończyć, lecz źle i przekańczać także, jeśliby tak powiedzieć się dało. Obraz pana Bougereau tak przekończony, że rzekłbyś iż robił go ktoś na maszynie. Ni śladu w nim zadrżenia ręki rozgorączkowanego tworzeniem artysty. Wygląda jak koronka fałszywa, regularniejsza i dokładniejsza w rysunku niżli prawdziwa, a pomimo tego mniej od niej cenna. Obrazowi brak czegoś więcej jeszcze, niewiem czego, może natchnienia. Postacie dobrze ugrupowane, dobrze oświetlone. Matka Boża taka świeża, taka elegancka, dzieciątko Jezus tak ładnie się uśmiecha tak wdzięcznie ku św. Janowi drobne wyciąga ręczęta. Wszystko to ładne, bardzo ładne, ni słowa, lecz ani wzrusza, ani nawet, powiedzmy co powiedzieć mamy, należnego świętości obrazu nie wzbudza respektu.

10. *Breton* (Juljusz): „Św. Jańskie Sobótki.“ Śliczny obrazek na poły pejzaż, na poły „tableau de genre.“ Nie chciałbym kuć neologizmów, a doprawdy, że staropolskiego właściwie rzecz określającego nie znam na to wyrażenia. Chór dziewcząt wiejskich tańczy koło rozpalonych ogniów Sobótkowych. W głębi sioło, bór, łany. Całość nadzwyczaj harmonijna, koloryt świeży. Jest w nim coś z wonnych powiewów czerwcowego wieczoru. Nic wymuszonego w postawach tanecznic; tańczą one rzeczywiście i ze szczerą ochotą. Brawo artyście!

(C) 11. *Compte-Calix*: „Wąska ścieżyna a widzie daleko.“ Alegoryczny tytuł kompozycji. Młody panicz opierającą się z lekka, widocznie tylko dla ceremonji, piękną dziewoję kieruje ku ścieżynie wiodącej w zarośla dąbrowy. Otóż i alegorja wytłumaczona. Obrazek na ścianę mieszkania starego kawalera. Niebrzydki wcale, lecz smutne sprawia wrażenie, zwłaszcza gdy się pomyśli, że może w takich przyszłość współczesnej sztuki. Śpieszmy pocieszyć się tem, co piękne w niej obecnie.

12. *Corot*: Jeśliby był kto, coby nie wiedział jak wielkiego w nim Francja straciła artystę, niech popatrzy na te ostatnie zmarłego utwory, a o smutnej przeświadczy się prawdzie. „Pląsy rusałek o zachodzie słońca“. Świetne to mistrza ze światem pożegnanie. Wątpię, by się kiedy z tego ostatniego wymazało pamięci. Gdyby to nastąpiło, żegnaj sztuko! Pejzaż przezroczysty, zalany jakiemś mglistozłocistem lecz cudne tło wytwarzającem światłem. Na tle tem lekkie, powiewne, fantastycznych tancerek rysują się sylwetki. W głębi gęstych, rzekłbyś od wiatru drżących drzew, czernieją massy. Całość dziwnie poetyczna. Patrząc na nią mimowolnie rymować się zachciewa coś o księżycu, lubej licu, o wieczorze, wonnym borze, itd. A niech tam mówią niektórzy, że Corot na naturę patrzał przez jakąś muszlinową złudzeń firankę. Patrzał on na nią inaczej zapewne, niźli wracający z targu handlarz wieprzami, ale że patrzał ładnie i podniośle, tego nam dowodzi głębokie wewnętrzne wzruszenie na widok dzieł jego.

Dwa drugie tegoż artysty na wystawie obrazy, „Drwale“ i „Biblis“ temiż samemi błyszczące pięknościami, tychże samych pochwał i zachwytów wywoływałyby powtórzenie. A nam brak czasu. Więc dalej!

13. *Couder*: „Polne kwiecie“. Świeża i ładna maków, wrzosów i bławatków wiązanka. Nęci oko zwłaszcza teraz, gdy mieszkańcom miasta, po długim przez zimę w murach jego pobycie, nadchodzące sielskie uśmiechają się słodycze.

14. *Courtat*: „Leda z łabędziem,“ lub łabędź z Ledą powiedzieć raczej wypada, przez wzgląd na Olimpijskie tego ostatniego dostojności. Przedmiot dość oklepany i p. Courtat żadnej nowej nie odkrył w nim strony. Naga kobieta, zaokrąglający szyję i nastrzępiający pióra przy niej ptak śnieżny, wszystko jakimści niebieskawo metalicznym oddane kolorytem. Rysunek poprawny, staranność wykonania wielka. Bez zbytnich wysiłków wyobraźni obrazek stworzony.

(D) 15. *Delobbe*: „Pyram i Tisbe.“ Tisbe w rozpaczy rzuca się na zwłoki kochanka. Gdyby Delobbe mógł u którego kolwiek z nadto jaskrawych swoich sąsiadów, pożyczyć nieco żywszych odcieni, obraz jego wygrałby na tem nieskończenie. Rysunek elegancki, postacie dobrze upropowane, boleść na twarzy Tisbe prawdziwa. Brak czego? Koloru. O nic trudniej jak o miarę. Artyści, albo czują się w obowiązku oślepienia nas farb pożarem, albo w inną wpadając ostateczność, rozwiedzioną, jak p. Delobbe, malują sadzą.

16. *Desgoffe*: Dużo nam jeszcze do zrobienia pozostaje, za nim własną artystyczną stworzym nomenklaturę. Mam mówić o p. Desgoffe, malarzu „des natures mortes“ i w wielkim jestem kłopocie jak specjalność tę w ojczystem określić języku. Dosłowne bowiem tłumaczenie „Martwa natura“ nie przypada mi jakoś do smaku i wątpię, by dokładnie pzecz wyrażało. Martwe natury, ha gdy trzeba?! rana Desgoffe w tym roku jak i w poprzednich, temiż samemi błyszczą zaletami i na też same zasługują nagany. Wykonanie najdrobniejszych szczegółów staranne, misterność rysunku wielka, umiejętność ułożenia, ugrupowania przedmiotów niesłychana, oto dodatnie; suchość roboty, brak duszy, brak pojęcia natury, oto ujemne tego talentu strony. Te wiśnie jego, te poziomki, na porcelanowym złożone talerzu, nie mniej od talerza są porcelanowe. Owoc, kwiat, jakkolwiek zerwane, jeszcze dyszą życiem jeszcze coś z przedśmiertnej przechowywać winne świeżości, dla czegoż więc p. Desgoffe kamiennym jakimś powleka je pokostem?

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Balladyna. Tragedja Jul. Słowackiego. Uwagi nad istotą wewnętrznej treści utworu przez L-wa J-go. Toruń 1875.

Balladyna, ta fantastyczna legenda wydobyta z zamrocznych dziejów Polski przedchrześcijańskiej, tragicznością swoją sięgająca wzorów greckich, a układem przypominająca „Makbeta“ i „Lira“ Szekspirowskiego, a to wszystko, jak się wyraża Krasiński, przeplecione obfi-

tością myśli żywych i cudnie pięknych obrazów, przy istnie czarodziejskiem władaniu polską mową, „z bezczelną łatwością pięknych wierszy“, doczekała się nowego komentora w osobie p. L-wa. Dotychczas w literaturze polskiej Balladynę oceniali krytycznie uczeni jak prof. Małecki w listach J. Słowackiego, prof. Tarnowski i nieśmiertelny Krasiński w listach swoich. Wszyscy trzej, co się tyczy głównej idei tej tragedji, charakterów i pojęć historycznych byli zgodni uzupełniając się wzajemnie. Tylko autor p. L-wa J-go zajął w niniejszym komentarzu odrębne stanowisko, wydając walkę wszystkim dotychczasowym krytykom. Po pobieżnem streszczeniu całej tragedji, przytaczając tu i owdzie zdania powyżwymienionych powag naukowych, przystępuje autor z zuchwałą nieco śmiałością do osobistych zapatrywań i krytycznej oceny tej najznakomitszej kreacji genjuszu Słowackiego. Na wstępie widzi szanowny autor w poświęceniu Balladyny autorowi Iridiona, myśl nadto uwydatnioną (?) stawienia Balladyny na równi z Iridionem, zaiste pomysł zupełnie oryginalny. Uzbroiwszy się niepokonaną bronią symboliki i allegorji, usiłuje nam autor na podstawie tej skreślić zasadniczą istotę wewnętrznej treści Balladyny. I tak: ów wspaniały, zieleniący się las nad Gopłem, to nic innego jak cała Rzeczpospolita w przeszłym, dokonanym bycie. Pustelnik, Kirkor i Filon, postacie, które spotykamy na początku tragedji, to w idealnym autora znaczeniu trzy główne pierwiastki życia wewnętrznego narodu. Czarująca postać Goplany to siła uroczej nigdy nie starzejącej się przyrody, obok tego opiekuńczy genjusz natury, żywioł swobody ludu. Uboga wdowa, matka przecudnych córek Balladyny i Aliny, to naród słowiański w patryjarchalnym stanie. Balladyna to pierwiastek arystokracji, Alina to reprezentantka ludu słowiańskiego. Cios śmiertelny zadany Alinie przez własną siostrę Balladynę, to zdeptanie i zabójstwo dokonane na pierwotnej gminie, to zabicie polityczne ducha narodowego. Ślub zaś Balladyny z Kirkorem to podniesienie gminu do stanu rycerstwa i możnowładztwa. W podobny sposób metodą symboliki i allegorji, wysnutą wyłącznie tylko z ducha autora, tłumaczy nam wszystkie postacie tej tragedji, dramatyczność i jej ideę. Poprzestajemy na tem wspomnieniu, nie zapuszczając się w bliższy rozbiór gdyż zaprowadził by on nas na bezdroża pojęć i zdań, z których nie wydobylibyśmy się nawet przy oryginalnym błysku symbolicznej autora pochodni. Jest to zawsze komentarz oryginalny, z dotychczasowemi nie mający nic wspólnego, a chociaż nieszczęśliwy, za to nowy i pięknemi czcionkami odbity.

— „Rozgrzeszeni.“ Obrazek z życia wygnańców. Napisał Feliks Kozubowski. Lipsk, Brockhaus 1875.

Obrazek niniejszy, napisany w niezwykłych w literaturze polskiej formach, układem swym przypomina nam obrazy francuskich pisarzów, mianowicie Wiktora Hugo. Za tło służą tu przygody Polaka, wśród ochydnych intryg, innych wychodźców, młodzieńca który po nieszczęśliwej walce r. 1863 zmuszony do porzucenia kraju wraz z innymi współtowarzyszami biedy i tułactwa ocknął się na goscinnej ziemi Francji i złączył się serdecznie z jej życiem, nie zapominając atoli na to, że jest Polakiem. Pan K. znany już jako autor poematu: „Wspomnienie“ i wielu innych drobniejszych utworów, wywiązał się bardzo dobrze w niniejszem opowiadaniu, pod względem formy i układu. Umiał on zająć szczęśliwie czytelnika żywem, elektryzującem opowiadaniem, przeplatając je własnemi poglądami, a przy tem tak działa na wyobraźnię, że ani chwili nie nuży.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Składka na zakupno „Unji“ Jana Matejki przyniosła dotąd 18.000 guldenów. Sumę powyższą odesłano artyście, który oświadczył się z gotowością oddania już obrazu na własność kraju. Pozostałe 12 tysięcy guldenów, komitety są obowiązane zebrać jak najprędzej, ponieważ wkrótce upłynie termin zbierania składek, dozwolony przez namiestnictwo. Czas teraz najwyższy urządzać festyny i rozpocząć agitację po miejscach kąpielowych.

— Z wielką uroczystością odbyło się minionej środy w kościele OO. Dominikanów we Lwowie, żałobne nabożeństwo za duszę śp. Karola Libelta i Józefa Kremera. Świątynia była przepełniona — świat naukowy w komplecie. Brakowało tylko arystokracji... Zebrana składka na pomnik dla Libelta przyniosła 82 guldeny, które odesłano komitetowi do Poznania. Serdeczna podzięka należy się Czytelni akademickiej, której staraniem nabożeństwo przyszło do skutku.

Sztuka, literatura i nauka.

— Z takiemi trudnościami podjęta budowa teatru polskiego w Poznaniu, została nareszcie szczęśliwie dokonaną. Dnia 21. bm. odbyło się w nowym teatrze pierwsze przedstawienie amatorskie, złożone z komedji J. Korzeniowskiego „Wąsy i peruka“ i żywego obrazu, przedstawiającego obronę Trembowli.

— Na lwowską wystawę sztuk pięknych, przybyło kilka nowych obrazów, między któremi znajdują się: Walerego Eliasza z Krakowa „Męczennicy Unji na Podlasiu“ i W. Łuszczkiewicza „Bekwark grający na skrzypcach.“

— We wtorek 29. czerwca w dzień św. Piotra i Pawła, w kościele OO. Jezuitów wykonaną będzie nowa msza utworu znanego i ogólnie poważanego kompozytora J. Withé'go, przy udziale tutejszych artystów i utalentowanych amatorek. Jest to już z rzędu 8. msza tegoż kompozytora.

— Ksiądz Malinowski z Poznania, sławny lingwista, po napisaniu gramatyki polskiej, starosławiańskiej i sanskryckiej, przystąpił obecnie do napisania gramatyki języka ruskiego w porównaniu z polskim i rossyjskim.

— Michał Bałucki napisał nową komedję p. t. „Pozłacana młodzież“, a Florjan Lagowski dla sceny warszawskiej komedję p. t. „Jakoś to będzie.“

— Bajki Lafontaine'a, ze świetnemi ilustracjami Dorego, mają wyjść w Warszawie, w przekładzie polskim.

— Na scenie warszawskiej wystawiono d. 20 b. m. po raz pierwszy nowy balet „Bogini Walhalli“, którego wystawienie, jak twierdzi „Wiek“ kosztowało setki tysięcy. Całość wypadła świetnie. Pierwsza baletniczka panna Cholewicka tańczyła bez utrudzenia od początku do końca.

— Zapowiedziana od dawna produkcja Verdiego, odbyła się we Wiedniu d. 19. bm. a mimo niesłychanego upału w tym dniu, teatr był przepełniony. Verdi wykonał mszę swoją na cześć Manzoniego i „Aidę.“ W produkcji wzięli udział: tenor Masini, bas Medini, sopranistka Teresa Stolz i mezzosopranistka Marja Waldmann. Siły powyższe są pierwszorzędne; „Aidę“ śpiewano po włosku. Gdy Verdi dziękował na scenie za przyjęcie, publiczność obsypała go burzą oklasków i olbrzymiemi wieńcami laurowemi.

— Zacharjasiewicz napisał dla „Wieku“ powieść większych rozmiarów p. t. „Na chlebie żony.“

— Budowa wielkiej Opery paryskiej kosztowała 50 miljonów franków. Sama ziemia zajęta pod ten gmach okazały została oszacowana na 10 miljonów.

— Cyprjan Godebski, artysta - rzeźbiarz, którego wystawa dzieł urządzoną jest obecnie w sali Ratusza Warszawskiego, na dochód dobroczynny, ma stale osiąść w Warszawie i założyć specjalną szkołę rzeźby.

— Geografji powszechnej Elizeusza Reclus wyszło już dotąd kilka zeszytów. Całe dzieło składać się będzie z dużych dwunastu tomów a pięciuset zeszytów ozdobionych dwoma tysiącami map i drzeworytami. — Całe dzieło kosztować będzie około 300 franków. — Dla ułatwienia kupna jednak wychodzić będzie w tygodniowych zeszytach po 50 centimów.

— W Ferrarze w czasie Jubileuszu Ariosta, który przypadał na 26. b. m. przedstawionym był utwor dramatyczny Piotra Cassyn p. t. „Ariosto,“ umyślnie na tę uroczystość napisany.

— Walenty Blumenthal w Warszawie przygotował do druku obszerny wykład buchhalterji handlowej. Książka ta ma stanowić początek rozleglejszego dzieła, mianowicie systematycznego wykładu wiadomości handlowych. Brak podobnej pracy w języku polskim dawno uczuwać się dawał.

— Rząd papieski posiadał bardzo piękne muzeum drzeworytnicze, założone przez Klemensa XII. Muzeum to, szczycące się jednym z najbogatszych zbiorów prac pierwszorzędnych mistrzów drzeworytnictwa, bo posiadające przeszło 15.000 zbiorów klisz, znajdowało się w wielkiem zaniedbaniu w latach ostatnich, szczególniej zaś od czasu zdobycia Rzymu przez Wiktora Emanuela. Obecnie za dekretem rządowym podjętą zostanie reorganizacja tego zakładu, na wzór podobnegoż muzeum w Luwrze, a na utrzymanie wyznaczono rocznie 40.000 fr.

— Pewien doktor angielski skonstatował po licznych doświadczeniach i wyrachowaniach przeciętnych, że dziecko natychmiast po urodzeniu waży około 2 kilogramy, 800 gramów, jeżeli jest chłopcem, a około 100 gramów mniej, jeżeli dziewczyną. Aż do dwunastu lat waga obydwu płci jest prawie równą; ale od tego wieku poczynając, mężczyzna uzyskuje co raz wyraźniejszą przewagę. I tak młodzieniec dwudziestoletni waży od 60—65 kilogramów, a dziewica w tym samym wieku 50—55 tylko. W trzydziestym roku życia mężczyźni dochodzą do maximum swej wagi normalnej, — gdy tymczasem waga kobiet nie przestaje wzrastać aż do lat pięćdziesięciu. W wieku dojrzałym obiedwie płci ważą 15—16 razy więcej aniżeli w chwili swego urodzenia. Nakoniec wedle powyższych spostrzeżeń waga przeciętna obojej płci bez względu na wiek wynosiłaby 45 kilogramów. Jeżeli jest tedy parwdą że 1200 miljonów ludzi żyje na ziemi, to ciężar ich ogólny można by policzyć na 50 miljardów kilogramów?!..

Wynalazki i podróże.

— W przepysznych salach strzelnicy miejskiej w Lipsku ukazują nadzwyczaj ciekawe widowisko licznie zebranej publiczności. John Holtum, słusznej i okazałej postawy Szwed, pozwala do siebie strzelać z działa, nabitego prawdziwą żelazną kulą i prawdziwym prochem. Kulę łapie on bez wszelkiego uszkodzenia rękami zaopatrzonemi w rękawice niekoniecznie modne. Jestto w swoim rodzaju arcyciekawa sztuczka z indyjskiej magji. Nie będąc wtajemniczonym, pisze korespondent Lipski, w mechanizm tego działa, słyszałem, iż cud polega w naboju. Jakkolwiek ma się rzecz, dodaje korespondent, jest to zawsze widowisko, o którem nie marzyli ani filozofowie, ani Moltke z Bismarkiem. Sztukmistrz łączy w jednej osobie obok nadzwyczajnej siły, niezrównaną grację i zręczność. Ciekawe to działo miał on wynaleść w zbrojowni Londyńskiej. Pierwszy raz wystąpił w r. 1872 w amfiteatrze w Holborn, przed tłumem spektatorów, popis jednak nie wypadł bardzo szczęśliwie, gdyż w skutek strzału stracił jeden palec u ręki. — To go bynajmniej nie odstraszyło. Udał się do Birmingham zrekonstruował działo i powrócił do Londynu, gdzie już występował ze świetnem powodzeniem. Zwidził Rosię, Francję, Austrję, a teraz bawi w Lipsku. W Wiedniu wydarzył mu się nowy wypadek; kula działowa drasnęła go lekko w skronie, w skutek czego odleżał dwa miesiące w szpitalu. Podczas słabości odbierał liczne wizyty osób; między troskliwymi była także młoda, piękna artystka, Anna Born, która mu ofiarowała serce, obecnie małżonka cudotwórcy.

— Piszą z Londynu, że p. Watts, który przeszłego już lata odbył podróż naukową do Islandji i wdarł się na górę Vatna Jöket tak wysoko jak żaden jeszcze podróżny, odpłynął znów do Reykjavik, w celu dalszych poszukiwań. Dotąd znaczna jeszcze część Islandji jest zupełnie nieznana, a mineralogiczny i topograficzny charakter wnętrza wyspy, nie został dotąd dokładnie zbadany.

Gospodarstwo.

— Z nowego Yorku piszą, że król wysp Sandwichskich, Kala-Kana, przyszle na wystawę filadelfijską swój płaszcz z piór, który dawniej monarchowie sandwichscy wdziewali w czasie wielkich uroczystości, ale który od lat kilku nieużywany, wisi już tylko jako ozdoba sali tronowej w królewskim pałacu w Hawai. Płaszcz ten, jak utrzymują, przedstawiać będzie niezawodnie na całej wystawie największą sumę pracy umieszczonej w jednym wyrobie, — tkano go bowiem z rozkazu jednego z przodków Kamehamehy, pierwszego króla wysp Sandwichskich, przez lat 50! Pióra użyte na tę tkaninę pochodzą ze skrzydeł pewnego szczególnego gatunku ptaka; płaszcz ma 1 metr kwadratowy powierzchni, i jest koloru złotawo żółtego.

Nekrologja.

† Józef Śmiechowski, oficer z r. 1831, a jenerał z r. 1863 zmarł we Lwowie. Ostatnie słowa konającego starca były: „Boże zbaw Polskę!“

ROZMAITOŚCI.

— Z wspomnianego w przeszłym numerze dzieła Anquetila, wyjmujemy drugi ustęp opowiadający o polowaniu na Babirussę. „Polowanie to — mówi autor — należy do najżywiej poruszających i najosobliwszych z pomiędzy tych, które w Indjach odbywać mi się zdarzyło. Babirussa (sus babyrussa) należy do źwierząt drapieżnych, i ma w sobie coś z jelenia i nosorożca, szczególniej zaś z dzika, do którego jest podobny, chociaż znacznie większy. Mięso jego ma smak przyjemny; nogi ma delikatne, ciało zaokrąglone, lekko nabrzmiałe w okolicy brzucha, co mu nader ułatwia pływanie; skóra na nim, z wyjątkiem końca ogona, kędy sterczy gęsty kosmyk włosów, prawie zupełnie naga, twarda, gruba, czarniawa i pofałdowana jak u nosorożca. Kły w dolnej szczęce mają nieco podobieństwa do kłów dzika, górne zaś wysuwają się naprzód a następnie zaginają w górę ku czołu. Babirussa odznacza się nadzwyczaj bystrym słuchem; za najlżejszym szelestem ucieka; pozbawiony jednak możności ratunku hardo stawia się myśliwcowi, i dla tuziemców często bardzo niebezpiecznym bywa; ci bowiem nie znając sztuki układania psów do łowów na dzikie zwierzęta, uderzają zwykle sami wprost na Babirussę z wielkim zakrzywionym nożem, zwanym Dha, w ręku. Siedliskiem tego zwierzęcia są właściwie doliny położone u stóp Himalaji; napotkać je można w środkowej Birmanji tylko w porze topnienia śniegów i wielkich deszczów, gdy fale unoszą zbite z korzeni i zielsk kępy i przypędzają je aż na rzekę Irawaddy. Na tych kępach ukrywa się częstokroć Babirussa“. Otóż raz udało się naszemu myśliwcowi na tak ukrytego Babirussę zapolować. Było to w okolicy Mandalay, na obszernej płaszczyźnie, leżącej pomiędzy dwoma przytokami rzeki Irawaddy. Na mniejszym z tych przytoków znajduje się tama i most z twardego drzewa. Niedaleko od tego mostu, na specjalnie urządzonej estradzie zajął stanowisko Anquetil, zarządziwszy pierwej troskliwie przygotowania do łowów, a mianowicie rozkazawszy przeciągnąć przez całą szerokość rzeki silną linę. Oprócz tego kilka lin przytwierdzonych do łódek stojących na dwóch przeciwnych brzegach mostu barykadowało rzekę, inne znowu przywiązano do przeciwległych słupów mostowych. Fale, nabrzmiałe ulewami, szły bardzo wysoko. Nareszcie pokazała się jedna z powyżej wspomnianych kęp, prawie mała wysepka, a na niej odkrył Anquetil dwa Babirussy zakopane prawie w gęstym i splątanem zielsku. Na ten widok skoczył z towarzyszami do łodzi. Zdawało się, że niezwykły widok mostu, przeraził zwierzęta i poddał im chęć do ucieczki; podniosły się bowiem, nastawiły uszy i wietrzyć poczęły na prawo i na lewo, wyciągnąwszy ryje. Na 40 kroków wypalił do nich Anquetil z obudwu luf. Mocne chrząkanie dało się słyszeć. Anquetil pochwycił za broń zapasową, ale w tej chwili obadwa zwierzęta skoczyły w wodę. Kule poszły za niemi w pogoń, napróżno jednak, bo kołysanie się łodzi nie pozwoliło dobrze wycelować. Anquetil wyszedł na brzeg, gniewny na grubość skóry Babirussy i własną niezręczność. Na szczęście los go wnet wynagrodził. Gwałtowny wiatr zerwał się za chwilę i najdalej w godzinę pojawiła się nowa pływająca wysepka, a na niej znowu Babirussa ogromnego rozmiaru. Anquetil w mgnieniu oka znalazł się z ludźmi swymi w łodzi i wyczekawszy teraz, aż zwierzę zbliży się na pewny strzał, wypalił doń z luf obu; potrzeba jednak było dwóch kul jeszcze, ażeby je położyć. Wówczas za pomocą lin przeciągniętych przez rzekę przytrzymano pływającą wysepkę i popchnięto ją ku brzegowi. Już Anquetil chciał skoczyć na nią, gdy nagle dziwny jakiś szelest go powstrzymał. Potworny wąż podniósł się z pomiędzy zielska, z otwartą paszczą, syczącym językiem i błyszczącemi oczyma. Na ten widok Anquetil chwyta za rewolwer, — nim jednak mógł strzelić — wąż, (był to Boa) z szybkością nie do wiary owija się wokoło mostowego słupa. Anquetil nie może strzelać, obawiając się zranić którego z towarzyszy stojących tuż obok słupa, zastępuje go sługa jego, murzyn, i pakuje cały ładunek swojej ptaszniczki w cielsko gadu. Ale ta garść śrótu ledwo się dała czuć wężowi, farbuje nieco, wspina się jednak po słupie wciąż wyżej. Gdy głowa jego pokazała się nad mostem, chciał Anquetil strzelić, uprzedził go jednak jeden z wioślarzy i oparłszy się jedną ręką o słup, drugą ciął z taką siłą swoim Dha w cielsko węża, że prawie je rozdwoił. Ciężko ranny gad upadł napowrót pomiędzy zielsko wysepki i tam wspinał się i wił straszliwie. Ucięto mu głowę. Mimo tego jednak kadłub i ogon poruszały się, kurczyły i opasywały grube gałęzie leżące na kępie z taką siłą, że gałęzie te łamały się jak wątłe pręciki. Boa ten miał około 9 metrów długości a grubość uda silnego mężczyzny; przez grzbiet jego cały szła długa pręga; reszta ciała była upstrzona różnokolorowemi plamami. Była to samica, jak wskazywały znalezione w niej jaja, pokryte twardą skórą ale jeszcze niedonoszone. Największe z tych jaj miało długości przecięciowej 10 centymetrów. Straszny ten gad musiał przynajmniej 150 mil przepłynąć razem z Babirussą na wysepce mającej najwięcej 20 kroków obszaru; nawzajem jednak nie uczyniły sobie najmniejszej szkody, widocznie równie przestraszone powodzią. Zabity Babirussa ważył przeszło 100 kilogrammów, niższe kły jego miały 6 cali długości; wyższe w całem zagięciu swojem prawie dwa razy tyle. — Całkiem niespodziewaną i niepożądaną sposobność do polowania na węża miał Anquetil pewnego razu w nocy w sypialni swojej w Mandalay. Zajmował on wtedy wielki czworokątny budynek, opasany z zewnątrz galerjami. Budynek ten był z trzech stron zamknięty, z czwartej zaś przytykała do niego wozownia, otoczona według birmańskiego obyczaju gęstą bambusową palisadą. Z jednej galerji prowadziły drzwi do tej wozowni. Zamykano je codziennie, w noc jednak o której mowa, stały jakby umyślnie otworem. Anquetil pracował do bardzo późna i ledwo zadrzemał, gdy nagle pudel jego, leżący w sypialni, poczyna szczekać. Na to budzi się żona Anquetila, głaska psa i stara się go uspokoić. Pies jednak, polizawszy jej rękę, z gwałtowniejszem jeszcze szczekaniem rzuca się ku drzwiom. Wówczas żona Anquetila wstaje, zapala światło i podszedłszy ku drzwiom, słucha, — i nic nie słyszy. W tej chwili pies ze szczekania przechodzi w najżałośniejsze wycie. Zbudzony tem Anquetil zrywa się, chwyta jedną ręką za lichtarz a drugą za rewolwer — i każe żonie odsunąć rygiel. Żona czyni to i odchyla nieco drzwi, postawiwszy jednak roztropnie przy nich nogę. W tej chwili w otworze pojawia się straszliwa głowa! Żona Anquetila wydaje okrzyk przerażenia i z całych sił przyciska drzwi, on zaś strzela potrzykroć do okropnego zjawiska. Przy trzecim strzale gaśnie przypadkiem światło, drzwi jednak nie stawiają już więcej oporu. Anquetil zamyka je coprędzej. Tymczasem zbiegła się służba ze światłem i rozpoczęto poszukiwania. Krwawe ślady prowadziły przez galerję do otwartych drzwi od remizy i wewnątrz jej; tam nic nie było, ale palisada bambusowa wyłamana była w jednem miejscu szeroko i gwałtownie; znać wielkie jakieś zwierzę przez nią się przedarło. Dalsze ślady nikły. Gdy jednak w trzy tygodnie potem, po opadnięciu powodzi, Anquetil wybrał się na przechadzkę ku Irawaddy, odkrył w wyschłem zielsku zabitego olbrzymiego boa, ze śladami dwóch strzałów w głowie. Był to niewątpliwie ów straszliwy gość nocny. Inną i rzeczywiście nader szczęśliwą przygodą myśliwską miał Anquetil na rzece Mhyet-Nghy, wpadającej do Irawaddy. Cała przestrzeń, którą idąc na łowy przebywał, rozkopana była i pokryta śladami dzikich zwierząt; tu i owdzie leżały szczątki tygrysów, słoniów i nosorożców, które widocznie pomordowały się nawzajem. Zdaleka spostrzegł Anquetil nosorożca stojącego po piersi w wodzie i obrywającego na pokarm delikatne gałązki i długie korzenie krzewów nadbrzeżnych. Jak wiadomo, nosorożec ma bardzo twardą głowę i grubą skórę a dla myśliwca może być bardzo nawet niebezpieczny, jeżeli jest tylko raniony; Anquetil, zajmując ze swemi towarzyszami dwie łodzie, czuł, że dwie kule wybuchające, które miał w lufie, na tak wielką odległość, 120 metrów, pozostaną bez skutku; strzały zaś z innej broni spłaszczą się lub ześlizną ze skóry nosorożca. Oprócz tego zaś obawiał się, że niskie brzegi łodzi mogą dać nader łatwy przystęp nosorożcowi, niezmiernie zręcznemu w wodzie. Z tych tedy względów powziął zamiar przepłynięcia w pewnej oddali od zwierza, który już poczuł wroga, podrażnienia go, zwabienia na ląd i tam poczęstowania go w piersi wybuchającą kulą. Już miał wysłać strzał dla podrażnienia zwierza, gdy naraz w pobliżu nosorożca dał się słyszeć przerażający ryk. Czarna para panter wyskoczyła z zasadzki w zaroślach na brzegu i jednym olbrzymim susem wpadła na nosorożca. Samiec przypiął się do szyi i usiłował kłami gardło mu przeciąć, jednocześnie sięgając pazurami do oczu; samica zaś przyczepiła się do tylnej, prawej łopatki nosorożca a zęby zatopiła mu w zagięcie lewej nogi. Para tych drapieżników dzięki gwałtowności swego napadu miała wyższość nad nosorożcem. Ale i Anquetil wmięszał się do gry. Wymierzył do samicy i dwiema kulami rozciągnął ją trupem na wybrzeżu. Wtedy nosorożec, mając wolne nogi, skoczył na głębszą wodę i zanurzył się. Wobec tej taktyki samiec pantery puścić musiał swoją ofiarę i skoczywszy na brzeg, obwąchał nieżywą samicę, probując ją łapami podnieść. Gdy jednak widział że się nierusza, odszedł i położył się w zaroślach. Za chwilę nosorożec, zmuszony potrzebą odetchnięcia, wypłynął na powierzchnię wody, zbliżył się ku brzegowi i wyszedł na ląd. Zaledwo jednak stąpił kilka kroków, już samiec pantery rzucił się nań z podwojoną wściekłością. Ale na ten raz nosorożec miał się na ostrożności. Jednym dobrze wymierzonym ciosem swojego roga odrzucił napastnika na 5 — 6 kroków od siebie. Uderzenie to rozdarło prawie na pół panterę i wyrwało jej z piersi straszliwy ryk; dwaj słudzy Anquetila dobili ją strzałami z karabinków. Tymczasem nosorożec, farbujący mocno, kręcił się w kółko, chwiał, upadł i potarzawszy się chwilę na karku, schował łeb w wysoką trawę, jakby dla ochłodzenia go. Anquetil skorzystał z tego i wpędził mu kulę wybuchającą w brzuch, kędy pękła jak bomba. Nosorożec był trupem. Miał on około 10 stóp długości, $5^1/_2$ stóp wysokości w biodrach, róg jego 27 cali był długi a 6 gruby, a przy tem twardy i przy osadzie czworokątny. Dwa inne zwierzęta były nieco mniejsze niż zwyczajnie bywają tygrysy królewskie, ale bardzo piękne, o ciemnej, czarno nakrapianej skórze. Samica miała długości 4, samiec zaś $4^1/_2$ stóp.

— Turecki dziennik „Bassiret“ pisze w sposób następujący: "Jak donosi „Old Mein Zatang“ (ma to być, jak się zdaje „Allgemeine Zeitung“, ale w tej nie doczytaliśmy się nigdzie podobnego doniesienia), w Berlinie ukazała się książka, pod tytułem „Geografja Niemiec“, której autor dowodzi, że ponieważ państwo niemieckie z roku na rok się rozszerza, więc z czasem Petersburg stanie się głównem miastem handlowem morskiem, a Wiedeń głównem handlowem miastem lądowem Niemiec; że Niemcy pochłoną Holandję, Belgję i Szwajcarję, a od Francji zażądają jeszcze pewnych części kraju, i że jest nadzieja, iż Brema, Hamburg i Tryjest będą ostatecznie nadbrzeżnemi miastami niemieckiemi“. Nie znając sami, jak już powiedzieliśmy, cytowanego dzieła, odpowiedzialność za powyższą wiadomość, nader ciekawą zresztą — jeśli prawdziwa — zostawiamy szan. redakcji „Bassireta“.

Odpowiedzi Redakcji.

K. W. w Tarnopolu. Tom IV. dzieł J. Dzierzkowskiego wyjdzie w pierwszej połowie lipca. Każdy tom zawiera tyle treści, że z największem tylko wytężeniem można go wykończyć w ciągu 6 tygodni, a introligator potrzebuje na zbroszurowanie także kilka dni czasu.

M. hr. B. w P. Poezje Marji B. wydamy prawdopodobnie w oddzielnym tomiku, jeżeli przystanie na to autorka, z którą znosimy się w tym przedmiocie.

Sprostowanie.

W numerze poprzednim skończył się artykuł o „Starożytności kuli ziemskiej“ i tylko przez omyłkę umieszczono „ciąg dalszy“.

Treść Nr. 26.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).